

**XXVIII**

**Ogólnopolski Konkurs Literacki  
im. Marka Hłaski**



**XXVIII Edycja  
Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego  
im. Marka Hłaski**

**Nagrodzone prace**

### **Konkursy i covid 19 - kilka słów od organizatora**

W minionych latach mieliśmy szansę witać laureatów konkursów w progach Młodzieżowego Domu Kultury, obdarowując wszystkich tomikami pachnącymi jeszcze farbą drukarską, prezentować teksty przed publicznością, słuchać uwag jurorów. W minionych latach, ale nie w 2020...

Ten szczególny rok postawił przed nami, jako organizatorami kilku konkursów o zasięgu wojewódzkim i ogólnopolskim, szereg wyzwań, wymuszając decyzje niepopularne, nie wszystkich zadowalające. Nagle w marcu okazało się, że przyjmowanie przesyłek z wydrukowanymi tekstami twórców jest niebezpieczne, nagle okazało się, że czasem samo wysłanie przesyłki jest trudne lub wręcz niemożliwe. Nikt nie wiedział jak długo potrwa życie w zawieszeniu, trzeba było myśleć o tych, którzy planowali nadesłać prace na konkurs i o tych, którzy już prace nadesłali i czekają na werdykt. Jedno jest pewne: zrobiliśmy tyle, ile było można - konkursy zakończone, nagrody rozdane i choć nie było wspólnego uroczystego spotkania, to jest nawet tomik - nie pachnie farbą drukarską, ale jest.

W imieniu organizatorów  
Małgorzata Grabiańska - Kosior

POEZJA

---

## I MIEJSCE

Bartosz Konstrat

Godło: stegmann

### **Może, może**

Kto wybiera ten zawód, no powiedz, tę pułapkę na rozczarowania, tę konieczność krzywdzenia, odbierania innym. A jednak tyłu wybiera, doceniając rozkosz, jaką dają pochwały od okrutnej matki. Bo matki w sumie to lubią, te

nagle zwycięstwa neurotycznych dzieci, rozpieszczonych córek i okrutnych synów. I ojcowie to lubię, te ołtarze z piasku, to posłuszne mięso, te smaczne posiłki. To jest jedyny zawód, śmiertelna profesja, za którą się przyznaje

dyplomy, awanse. Ale to też jest zawód, bolesna porażka, krew dolana do mleka, dziwna kompozycja.

### **Koniec ligi**

Porażka jednego, zwycięstwem drugiego. Banał, ale ciągle działa, wciąż sprawdza się w zakończeniach powieści i filmów. Porażka filmu zwycięstwem powieści. Kość zwierzęcia pokarmem rośliny. Tego nie mamy nigdy dość: kobieta w czerwonej bluzce

na tle śnieżnej góry, oko głębokie jak ocean, ale też brudne jak ocean, ciężkie jak metale we wnętrznościach ryby. Banał, ale ciągle działa, sprawdza się na początku i na końcu życia. Banał karnawałowy, banał pogrzebowy, kicz dzikiego rozstania, udanego

związku. Cóż zatem? Czym jest antypapieros, jeśli papierosem moje чуłe westchnienie, twoje piękne kłamstwo? Jaka ryba pływa w wodzie mlecznej niby księżyc? Czyje wnętrzności pachną a ślina nie brzydzi? Nie porażki, zwycięstwa, ale wieczny remis.

---

## Sięgam głębiej

Nie masz już w sobie ciała, masz pod skórą słoik, zimne szklane naczynie, które da się zniszczyć porządnym uderzeniem albo przez przypadek. Nie masz przed sobą przyszłości, masz jedynie obraz, dwuwymiarowy obraz, już nie ważne czego, zbiorowisko

kolorów, jakąś tam abstrakcję. Nie masz więcej nadziei, masz bukiet haczyków, przynętę na nich smaczną, dasz się na nią nabrać. Wyciągasz język, smakujesz powietrze, mój słodki przyjacielu z korzeni i łodyg. Mógłbyś być dziełem sztuki, tak niepewny

status ma to twoje istnienie, to ziarenko piasku. Pod słoikiem masz ciało, bajeczną opowieść, zobaczysz, jeszcze dasz radę stworzyć się z niczego.

### II MIEJSCE

Marcin Podlaski

Godło: *pauvrelelian*

## Katatonnia

Wzrost licz w kłębie  
Ile byś mi dała?

Shukam odpowiednich słów, a nie mam zdania

Kiedy na Plantach gniją liście  
myślę o Katyniu

Zmierzch wcina się w skórę, wertykalny nóż  
w palec wskazujący. Uszkadza nerw.

*23 października 2020, Kraków*

---

## Wykład ze składni

*Zażółć gęślą jaźń*

test na polskość

Ozór masz blady, przepuklino twarzy  
Kontur zarysuj nikim się rozmyślę  
Zaliczyć nieobecność jest pożogą krwi  
Oprócz podeszew do podłóg nie klei się grupa  
Nominowałem stany i je werbowałem  
Podmiotowi cechę bycia kochanym przypisz  
a otrzymasz fałsz. Wróćmy więc ad fontes

Wymancypuję się jeszcze z tej frazy  
Wyłącznie mi potrzeba matrycy i kred.

## Hapłus

*Juliuszowi Gabryelowi*

Owad w moim oku, owad w moim uchu  
Jątrzy się język po błędzeniu w rankach  
Spisuję takie spiski, do jakich się nigdy  
Na karcie choroby przyklepią mi piątkę?

${}^H a + {}_h a + {}^h a + {}_h a + {}^h a$

Owad w moim uchu: *nie noś tak koszulki*

Owad w moim oku: poprzez usta patrzą  
Jak wyjąć z małżowiny? A jak z oczodołu  
bez przeboju bębenka? Bez rys na gałce?

Od słowa do słowa moja bardzo wielka mowa  
Od słowa do słowa moje wyrobione zdanie  
Wszelkie prawa niestrzeżone. Stały nadzór kamer.

*6 marca 2020, 4:56, Kraków*

---

## II MIEJSCE

Ela Galoch

Godło: *ROZWIANI*

### *Trwałość*

Ten dwór jest przedwieczny; przeżył tyle wojen, rewolucji,  
worków z pleśniejącym zbożem i butelek po najtańszym winie.  
Wszystko pokorniało przy nim, obchodziło z daleka, chociaż ludzie  
byli mściwi, wraz z parkietami zdzierali pamięć aż do obolałych  
fundamentów, pozostawiając pospolitość jak nieobrobiony kamień.

Z jam okien wieje stęchlizną, lecz ja, wciąż toczę tu trudy świtów,  
liryczna, uzbrojona w nadzieję wyobraźni, stwarzając sobie  
kształty dla snów. Bo jak pożegnać się z tą pustką? Wciąż  
przeczuwam dźwięk klawesynu, a jesienny wiatr zapala sarnie świece  
w kandelabrach parkowych drzew.

Bo przeze mnie przemykają obrazy zbrązowiałe i te,  
jeszcze nie ostygłe z farby krajobrazu. Jaśnie Pan  
mierzy do gobelinowego jelenia, krzyczą fuzje; uderzają w oczy  
pasy nabijane świecidełkami. *Canto* Pani niesie echo przez pokoje.

W kątach barokowe księgi porozrywane przez myszy. Strojni lokaje  
nakrywają starego odźwiernego kożuchem pleśni, potem kładą mu  
na powieki złote ruble. Tylko ogromny zegar jak ołtarz, z czasem  
zatrzaśniętym, na pajęczych łańcuchach waży zmęczony mrok.



Stara rezydencja wstrzymuje oddech, kiedy kobiety o spracowanych dłoniach i wrażliwych duszach przechodzą przez złożoną bramę czasu. Niektóre z nich stają się osiemnastowiecznymi śpiewaczkami. Zbiegają z westybulu, unosząc różowe krynoliny jak skrzydła. Potem zrzucają aksamity, żeby pokazywać kokietyjne dąsy lustrom, szybom i polerowanym powierzchniom. Dziś nie chcą być tylko kopcuszkami. Na chwilę gaszą w sobie tłok z autobusu i pampersy dla wnuczka niczym łojową świeczkę.

Ze ścian antyczny heros, pan włości wodzi za nimi wzrokiem. Podkręca wąsa, a one figlarnie kryją się za wachlarzami, rozkwitają. Ich fantazja staje się harfą dźwięczącą w kryształowych kielichach, że nawet rokokowe cherubiny wołają wina i muzyki. Przy jej tonach inne uczestniczki wycieczki zmieniają się w muślinowe baletnice. Jakub Fontana także zapatrzył się na nie, tworząc wnętrza pałacowe lekkie i doskonalsze. Jego palce zatańczyły z nimi gawota, subtelnie muskając marmury i sztukaterię.

Można tu stracić głowę dla lipowych szpalerów i białych rzeźb, gdy w pogoni za tajemniczymi girlsami unosi się mgiełka z loków niczym wapienna zaprawa z pęknięć w murach. Oczy stają się zamroczone jak po węgrzynie, a potem ten zapach siana w koronkach nie wiadomo skąd? Czyżby w dworskim teatrze znów zagrano sztukę dla hetmana?

---

## *Poetyckie szkice w oparciu o stare pamiętniki*

Jeszcze tego nie rozumiesz: jestem moją prababką, czekającą na nieznanomego mężczyznę, gdy rozbieganymi palcami powiększała usta śliskie od śliny. Lustra w zimnych, hotelowych pokojach stawały się ciepłymi skrzydłami paryskich toaletek, a po przyłożeniu do nich zamszowej rękawiczki wyrastały kawiarniane opary cygar. Pytała się, kim dziś będziesz: iluzjonistą czy satyrycznym pisarzem?

Lecz w chwili drapieźności zawsze odzywały się w niej te wszystkie, udomowione kocice w fiszbinowych gorsetach, co za adamaszkowymi kotarami trzymały wianki z rozchodników po oktawie Bożego Ciała, chociaż wieczorami marzyły o ucieczce z oszronioną butelką szampana przez ciasne kokony drapiącego perkalu i skąpe warg starych mężów. Chciały żyć: nagie i dotykalne, lecz brakowało im odwagi.

Wpatrując się w ich odbicia zachłannie myślę czasem przeszłym, zapamiętując refleksy na ich skrywanych twarzach, co jak wydarte drobiny koronki nie dają się uchwycić w codzienność. Zatrzymane jedynie w sepii brązowych futerałów po kontrabasach i czytanych po kryjomu romansach, skąd jeszcze prześwitują rozżarzone siatkówki ich wymyślonych kochanków. Te gładkie powierzchnie w moich nozdrzach falują jak wzburzone morze.

---

### III MIEJSCE

Piotr Zemanek

Godło: *PROSTEEGO*

## OGRÓD BARBARZYŃCY

### Prześwietlone kadry. Korpo. Sawanna.

nowe samice w stadzie chodzą lekko spłoszone. jak lwice  
rozpoznają teren. granice swobody. badają obszar sawanny.  
starają się nie poruszać powietrza. nie rozsiewać zapachów.  
odchodzą od firmowego źródła. piją kawę ukryte za ekranem.

stare samce depczą w miejscu suchą ziemię. kręcą się nerwowo  
wokół samic. zataczając kręgi. każdy chciałby powiedzieć. to ja  
jestem samcem alfa. demonstrują nieuprawnione przywództwo.  
ocierają o kuse sukienki. uzurpując prawo do pierwszej nocy.

nawet te z innego stada podchodzą zbyt blisko. przyglądają się.  
machają ogonami. unoszą je odsłaniając niezbyt jędrne pośladki.  
potrzęsają wyleniałymi grzywami. próbują wejść na teren.

stare samice patrzą spode łba. nowym pokazują pożółkłe kły  
i miejsce w szeregu. kłapią w kark samców i odsłaniają uległość  
brzucha. pachną wiatrem. burza wisi w powietrzu. czuńkrew.

---

## Bogowie

na początku Bóg stworzył ludzi. teraz ludzie stwarzają bogów.  
mówią. stworzyliśmy bogów na swój obraz i podobieństwo.

dbamy o wygląd. przez siedem dni w tygodniu przeglądamy się  
w lustrach ekranów. wystawiamy na aukcjach swoje ciała. potem  
uprawiamy seks w wirtualnym niebie. hodujemy swoich idoli.  
rodzimy celebrytów. karmimy ich sobą. własnym ciałem i krwią.

modlimy się do siebie o cud wiecznej młodości. zapierając się  
boga w sobie. i cierpimy za miliony. chcemy zbawić sobą świat.

zrzucamy plagi egipskie na wyznawców. mamy swoich wrogów.  
i zbawców którzy skazują nas na drogę krzyżową kładąc pod nogi  
hasztagi z kodem nieśmiertelności. ludzie chcą się życiem nażyć.  
nażreć życia. nachapać. zawłaszczyć świat. jak Bóg. nieskutecznie.

nie wierzymy w Boga. wierzymy w życie. życie nam nie wierzy.  
oszukujemy je. jesteśmy dobrzy. w tym fachu. każdy jest bogiem.

---

## Galeria. Art. Shopping.

galeria otwiera swoje wnętrze. udostępnia najnowszy gatunek Art-u. wystawiają się młode artystki. każde ciało ewoluuje do wewnątrz odsłaniając szczegóły dzieła. koneserzy pochylają się nad sztuką. doceniają jej walor i cechy szczególne. podkreślają wagę konkretnego.

można się jej przyjrzeć jak w lustrze. co godzinę ktoś inny ogląda w nim siebie. starają się nadążyć za trendem. nieświadomie spieszą po pęd do sztuki. wiedzą że od dawna flirtuje z biznesem. komercja żyje. wymiana barterowa nie jest konieczna. znają wartość waluty.

artystki skupione są na jednym miejscu. w sobie. nastawione na cel. walczą o mecenat sztuki. oferują dzielenie dóbr. ciało mówi prosto w oczy każdemu facetowi o doskonałości. przekonuje że nie jest stary. że dobrze ulokował swoje środki. że nie będzie żałować inwestycji.

towar jest perfekcyjnie rozpakowany w spersonifikowanej reklamie. target określony. mężczyźni przechadzają się po galerii. konsumują zachwyt. po transakcji wkładają banknot w bieliznę jak w szczelinę samoobsługowej kasy. albo zostawiają na widocznym miejscu.

PROZA

## II MIEJSCE

Mariola Kruszewska

Godło: konwalia

### Artysta

Kierowca autobusu zamknął drzwi. Pojazd syknął, sapnął, zakołysał się na boki i potoczył dalej. Tęgi, spocony mężczyzna, ubrany mimo upału we flanelową koszulę i skórzaną, wytartą kamizelkę, przeciskał się między rzędami siedzeń, wypatrując wolnego fotela. Balansował na szeroko rozstawionych nogach. Z trudem przychodziło mu utrzymanie równowagi. W rękach niósł foliowe siatki i wiklinowy koszyk. Kobieta zamknęła oczy. Udawała, że śpi, ale na nic się to zdało.

– Można?

Tego się obawiała. Podniosła powieki, niechętnie wstała i przepuściła mężczyznę. Czując przez skórę, że czekają ją ciężkie chwile.

– Bardzo proszę.

Usiadł ciężko, sapiąc. Z płuc wydobywał się astmatyczny, świszczący oddech. Pod nogi wepchnął siatki. Na kolanach postawił ostrożnie wiklinowy kosz przykryty chustą. Uniósł rąbek, zajrzał do środka. Kobieta usiadła na swoim miejscu. Po chwili poczuła nieprzyjemny zapach. Nie wiedziała, czy przykra woń pochodzi od współpasażera czy zawartości jego bagażu. Nie interesowało ją to. Skrzywiła się mimo woli. Ponownie zamknęła oczy, dziecięcą metodą izolując się od miejsca i wypełniających go ludzi. Starala się nie zaciskać zębów.

– A pani nie woli koło okna?

– Nie, dziękuję. Z tej strony wygodniej, więcej przestrzeni – odpowiedziała, nie podnosząc powiek. Odwróciła głowę.

– Ja tam lubię przy oknie. Dużo widać. Można zwiedzać bez przebijania nogami – zaśmiał się głośno. – Pani rozumie, młodzieniaszek już nie jestem, zdrowie nie to, sił nie przybywa. Kiedyś, o, kiedyś, to ja bym się na autobus nie oglądał, tylko wsiadł na rower i, jak to mówią, z górki na pazurki! - ponownie się roześmiał. Jego śmiech przypominał uwerturę do gruźliczego kaszlu. – Jak nie, to i piechotą, bywało, zima nie zima. Ale teraz ludzie w wygodzie zasmakowali, samochodami jeżdżą nawet te parę metrów do sklepu, słabe się przez to zrobiły. Pani do miasta? Do Łap znaczy?

Kobieta nie odpowiedziała od razu. Przez głowę przebiegła jej myśl, by wysiąść na najbliższym przystanku i uwolnić się od tego gadatliwego, śmierdzącego Lorda Vadera, który zdawał się nie dostrzegać oznak jej dezaprobaty. Będzie tak gadał i gadał, do samego przystanku. Zapewne wysiądzie na ostatnim. Nie! Na tym samym, co ona. Może nawet ruszy w tym samym kierunku i dalej będzie gadał te swoje flanelowe mądrości. Wysiąść, natychmiast, to jedyny ratunek. Potem jednak ogarnęła ją złość na samą siebie. Dlaczego miałyby rezygnować z zaplanowanej podróży? Uciec – a niby czemu? Tracić kolejne godziny w oczekiwaniu na następny bus, który albo przyjedzie, albo nie. Narażać się na upał.

Przez niewychowanego, cuchnącego typa? O, nie! Wykupiła bilet, miała prawo jechać tym autobusem. Autobusem, który zebrał po drodze gromadę reprezentantów. Znała te typy, tyle razy je mijala, ocierała się o nie na swojej drodze.

Tuż za kierowcą siedziały dwie kumoszki. Przekrzykiwały się w dyskusji o cenach mięsa w różnych sklepach i o tym, która z nich bardziej chora, więc bardziej nieszczęśliwa, więc bardziej zasługująca na współczucie. Przebijały się dokładaniem kolejnych schorzeń i dolegliwości jak na licytacji w Sotheby's. Niagara pomyj spływała po kolejnych lekarzach, pielęgniarkach, przychodniach i szpitalach. Gdy im źródło natchnienia wyschło, co wydawało się rzeczą niemożliwą, podjęły aukcję w temacie „problemy z rodziną”. Zgorzkniałe, złośliwe staruchy, potrafiące wyklócić się o wszystko z samym diabłem – pomyślała kobieta. - Nie pozwól, Panie...

Za nimi wygolony młodzieniec ze słuchawkami w uszach poruszał rytmicznie brodą, zupełnie jak gdcząca kura. Obok niego przypominający księgowego mężczyzna przeglądał zawartość telefonu.

Gdzieś dalej młodzi, wtuleni w siebie, ślepi i głusi na wszystko, co poza nimi, budzili zazdrość i tęsknotę, czyli powszechną niechęć.

Kobieta, patrząc na ich beztroskę, poczuła się głęboko nieszczęśliwa. I pechowa. Po jej drugiej stronie jakaś dziewczyna głośno spowiadała się ze swego dnia komórcę. Szczegółowo opisywała minutę po minucie, wyrzucając z siebie słowa z prędkością taśmy cekaemu. Zakupy, zakupy, zakupy. Zakupy udane. Zakupy nieudane. Psiapsiółka w hamburgerowni. Zamówienie w hamburgerowi. Zamówienie psiapsiółki. Opowieść psiapsiółki o nowym chłopaku. Nowy chłopak, stary chłopak, jeszcze starszy chłopak. Kobieta obrzuciła ją taksującym spojrzeniem. Odrosty na włosach w kolorze jajecznicy, odrosty po hybrydzie, kusa spódnica, grube uda, brudne buty. Różowa obudowa telefonu wysadzana obficie cekinami. I źle pomalowane usta w ciągłym ruchu. Można było odnieść wrażenie, że po drugiej stronie nikogo nie ma, że dziewczyna ciągnie swój monolog dla samej przyjemności mówienia. Któż bowiem normalny miałby tyle cierpliwości, by słuchać raportu z obłąkanego centrum handlowego bez szansy dopuszczenia do głosu?

Dobrze znała ten rodzaj dopiero co opierzonych kobiet aspirujących do świata pierwszych dam discopolowego parkietu. Świnki-słoninki z wybiegu w Głuchej Dolnej. Naiwne gęsi, głupie i krzykliwe, czytające poradniki z cyklu „Jak zostać gwiazdą i wyjść za gwiazdora”. Dzióbek do selfie, wrzutka do neta i lajcikowy surfing. Co taka wie o zbrodni wołyńskiej albo o Romanie Dmowskim? Czy rozumie konflikt na Bliskim Wschodzie bądź bliżej, w Donbasie? Słodka idiotka nieodróżniająca Wyszyńskiego od Daszyńskiego, tępa dyskotekowa dzida. Nowoczesna demokracja zaś daje jej w wyborach głos tak samo ważny, jak głos profesora.

– O, niech pani popatrzy! – mężczyzna bezceremonialnie trącił kobietę w bok. Tego już było z wiele.

– Pan wybaczy, jestem zmęczona. Potrzebuję trochę spokoju. Miałam ciężki dzień.

– E tam, szkoda czasu na sen, kiedy za oknem takie cudenka! – mężczyzna zdawał się zupełnie nie wyczuwać agresywnego tonu współpasażerki.

Kobieta, mimo irytacji, posłusznie spojrzała za okno. Krajobraz nieprzysłonięty betonowaną



cywilizacją, lekko pofałdowany, rozciągał się po horyzont niczym rozłożony patchwork. Kraciaste kilimy pól stroiły się właśnie w letnie, zgaszone słońcem kolory. Przedzielały je ciemnozielone kępki lasów, piaszczyste drogi, samotne krzewy. Nie dostrzegła w krajobrazie niczego osobliwego, niczego, co wynagrodziłoby jej przykrości podróży. Błęgała w duchu autobus, by jechał szybciej.

– Cóż tam pan dostrzegł interesującego? – spytała, ostentacyjnie ziewając.

– Świat!

Boże drogi – pomyślała - wioskowy filozof mi się trafił. Niczego mi to życie nie oszczędzi. Dodaj mi sił, Panie. Sił i cierpliwości.

– Świat – powtórzyła machinalnie, odwracając głowę. – No tak.

– Ślicznie, prawda? – w głosie mężczyzny usłyszała entuzjazm, którego bynajmniej nie podzielała. Zerknęła ponownie w okno. Za brudną, przyciemnioną szybą popołudniowe słońce kładło na ziemię miękkie cienie. Tyle w tym pejzażu było spokoju, łagodności i smutku, że zdenerwowanie kobiety zaczęło powoli topnieć jak bałwan na przednówku. Żałowała, że nie może w tej chwili spacerować po tych cichych polach, bez celu, bez planu, przed siebie, jak najdalej od wszelkich kłopotów. I od tego filozofującego tłuszciocha.

– Owszem, ładnie.

– Ładnie? Ładnie? To nie jest dobry wyraz, pani. Ładna to może być pogoda. Albo piosenka. Tu trzeba odpowiednie dać rzeczy słowo! – uniósł wyprostowany palec w kierunku sufitu zupełnie jak Jan Chrzyciel na obrazie wielkiego Leonarda.

Kobieta, zdziwiona, uważniej przyjrzała się współpasażerowi. Niedokładnie ogolony, z dawno niestrzyżonymi włosami, z włosami w uchu, z włosami w nosie. Pot skropił mu czoło. Zdecydowanie odbiegał od schematu inteligenta.

– Na słowach to ja tam się nie znam. Książek mało czytam teraz, wzrok nie ten a i czasu mi szkoda. Bo po co czytać o urodzie świata tego, oczy w papier wlepić, jak przez to prawdziwego świata nie można oglądać? Czasami gazetę przejrzyć z grubsza, naczynam się o różnych nieszczęściach, świństwach ludzkich. Tyle tego, że człowiek przybity chodzi do wieczora, potem spać nie może. Ale czy to można gazetom wierzyć? Mnie się zdaje, że one specjalnie takie straszne rzeczy wypisują. Ludzie popatrzą na okładkę, a tam nieboszyk we krwi to i wiedzieć chcą, kto to i za co. Cieszą się, że nie ich to spotkało. No cieszyć się z cudzego nieszczęścia to grzech wielki! To i czytać nie czytam za dużo, Patrzeć wolę. Choćby i na te krowy. Widzi pani?

– Widzę. Krowy – kobieta wzruszyła ramionami.

– Krowy to teraz rzadkość, pani. Są takie wioski, że ani jednej nie uświadczysz! Nie opłaca się trzymać. Kiedyś to każdy gospodarz miał, po kilka sztuk, po kilkanaście. No i konie, też każdy miał, chociaż jednego. Niedługo żadnej nie będzie, pani wspomni moje słowa. Mleko z Holandii przyjdzie nam pić. O, pani patrzy, jak to sobie leżą na łące. Te czerwone najładniejsze, te są na mięso. Ja to lubię na nich patrzeć pod wieczór, jak słońce zachodzi niby luna jakaś pożarna. Błyszczą się i świecą wtedy. A kolor ich to jak z innego świata. Nie ma takiej farby, żeby ten kolor prawdziwie namalować.

Mężczyzna wyprostował prawe ramię, rozcapierzył palce i zakreślił nimi szeroką panoramę.

---

– Najpiękniej jest, gdy tak zaraz po burzy niebo za nimi granatowe, ale trochę w tym granacie szarego i fioletowego koloru się przymiesza. A słońce w to niebo, tak prosto, w ten granat, i w te krowy. A one jak te pomniki bohaterów z miedzi albo i ze złota. Wiem, co mówię.

Kobieta milczała, ale już nie udawała senności. Posłusznie wpatrywała się w okno, rejestrując zmieniające się obrazy bez szczególnego zainteresowania. Znała je. Wszystkie wyglądały podobnie. Czasami zaskakiwały stadem saren albo połyskującą niczym srebrna broszka taflą wody. Nie była zupełnie szczerą z tą manifestacją obojętności – lubiła je jak wszystko, co wносиło w jej życie dwa najbardziej boskie pierwiastki - ciszę i spokój. Oswojone, więc przyjazne, przemierzone po wielokroć samochodem, rowerem, na piechotę stały się prywatnym rajem. Otwarte o każdej porze roku czekały na nią, czuła to. Wydobywały z kobiety, to, co było w niej najlepsze. Chciała je zatrzymać tylko dla siebie prawem zasiedzenia, prawem zachwytu i miłości, przepędzić stamtąd każdego intruza wdzierającego się w brudnych buciorach na bezbronne dywany. Otoczyć kolczastym drutem, zetrzeć z map. Tęskniła za każdą brzozą, wrzosowiskiem, sosnowym młodnikiem. Wyrывała się najdrobniejszą cząstką do niekończącej się przestrzeni, którą przemierzała, walcząc z wiatrem. Czuła niemal fizyczny ból, gdy przykuta do sterty papierowych zaległości, otwierała w pamięci album błękitno-zielonych widokówek.

Co on mógł czuć, ten prostak siekierą ciosany? Bo na pewno nie to samo. Nie rozumiał mowy drzew, narzekania mrówek. Nie kręciło mu się w głowie od nagłego zapachu liści polakierowanych pierwszą, jesienną ulewą. Nie znał powinowacenia dłoni i szorstkiej kory. Interesowały go krowy, krowie placki. Zapewne też piwo pod sklepem. Co on tam wiezie w tym koszyku? Jajka? Może utytłane w kurzym gównie, pewnie one tak śmierdzą.

Mężczyzna, jakby słysząc myśli kobiety, ponownie uchylił rąbek chusty. Potem odwrócił się w stronę współpasażerki.

– Ludzie to się, pani, wcale nie dziwią temu światu. Ot, przywykli do niego. Jakby te krowy były, dajmy na to, fioletowe od zawsze, jak te z reklamy, też by się nie dziwili. A dziwić się trzeba, bo to zachwyt święty jest. Pani sobie wyobraża brązowe niebo? Albo szare jak stal? Pan Bóg wybrał dla nieba najlepszy kolor. Wybrał, bo to nie był przypadek. O, ja dobrze wiem, nie byle majster to dzieło stworzył. Ile ja razy chciałem ten swój zachwyt wymalować! Żeby podziękować Panu Bogu. No i żeby przestało tak w środku dusić. Ale Bóg poskąpił talentu. Do zwykłej, czarnej roboty tylko się nadaje. Ani malować, ani rzeźbić ja nie umiem. No dusza to mi się, pani, tak nieraz aż trzęsie do czegoś, tak skamle i rwie się jak ten pies na łańcuchu, a sam nie wiem, do czego. Może jak bym zasiadł do farb i namalował te cuda, to by spokój powrócił? W telewizji pokazują nieraz różne malunki, to dziwię się, że takie zachwyty nad nimi, a ludzie to nawet kupować chcą. I za jakie pieniądze! Pani, to ja bym za te pieniądze niczego do końca życia nie musiał robić! O, siedziałbym sobie gdzie w cieniu i gapił się na świat. A te obrazy! No cuda niewydarzone! Jakieś kropki, kreski, packi, do niczego to niepodobne! Tak to i ja sam albo i jakie dzieciaki nabazgrać by mogły, słowo honoru dać mogę. Oni, te znawcy niby, sadzą się, puszą, nadymają jak balony, mądrości wygadują.

Muszą tak gadać, bo bez tego nikt by nie wyrozumiał, o co idzie! A tu – spójrz, pani, na te pola, żadnych gadek nie trzeba – tylko piękno, tylko zachwyt i każdy to rozumie, czy to prosty chłop, czy kształcony inteligent z miasta.

Kobieta musiała przyznać mu rację. Nie była artystką, na sztuce znała się tyle, ile przeciętny zjadacz chleba. Poczuła cienką nić porozumienia ze współpasażerem.

– To niech się pan cieszy. Na wsi mieszka pan przecież. Tu o urodę świata łatwiej niż w mieście.

– Prawdę pani rzekła. Syn chciał mnie wziąć do miasta, do bloków. Tam wygodniej, prościej, mówi. I prawdę mówi – woda z kranu leci, ciepła, zimna, do wychodka chodzić nie trzeba, węgla, drewna nosić, do sklepu blisko, do lekarza blisko. Co racja to racja. Ale niby w więzieniu, pani. Jak się chce wyjść, to ubrać się trzeba należycie, ogolić, bo ludzie patrzą. A w oczach to jakby lampa im się jakaś paliła, jak na przesłuchaniu. I tak świdrują tymi oczami, kiedy mijają. To ja już wołę do śmierci te wode ze studni nosić, a nieogolony do kur chodzić. W mieście wyjdiesz, pani, przed blok, a tu samochody pędzą na wyścigi, a ludzie jeszcze pędzej. I gdzie oni tak się spieszą na złamanie karku? No niech pani sama powie. Na końcu każdego trumna czeka, po co tak ku niej gnać? Lecą na łeb, na szyję, a czasu i tak nie mają ni dla Boga, ni dla siebie. Syn to mi nieraz dzieciaka podrzuci, bo roboty u nich huk do ściętego nocka. A potem tylko płacz, lament, bo wnuczek wracać do domu nie chce. Dopiero jak mu syn komputer obieca więcej, to się godzi jechać. Już od małego z korupcją go obznajamiała – mężczyzna poczerwieniał na twarzy. – Niepiękną to, bardzo niepiękną. Ja ciemny chłop, prosty, ale może i przez to prosto świat pojmuję. To więc powtórzę – niepiękną to, znaczy – całkiem nie po bożemu. Grzech. A grzech to najgorsze, co ten świat brudzi.

Odchrząknął zmęczony długą tyradą. Zapatrzył się w uciekające za oknem krajobrazy. Z jego płuc wydostawał się świst. Milczał. Nie trwało to długo.

– O, znowu krowy! Ale ile! – w jego głosie wyraźnie usłyszała dziecięcą radość. – Niech pani popatrzy, jakie wielkie stado!

Kobieta przerażona perspektywą ponownego szarpnięcia za rękaw posłusznie utkwiała wzrok w zwierzęta. Leżały na trawie z uniesionymi łbami. Białe, z czarnymi plackami na bokach, przypominały chmurę bielinków, gotowe ulecieć w niebo mimo gliniastej proveniencji. Odniosła wrażenie, że przypatrują się jej.

– Ojciec opowiadał, jak raz wyszedł krowę przewiązać na pastwisku. Jedną tylko mieli, bieda była, ale i za tę jedną Panu Bogu dziękowali, bo drudzy to i tej jednej zazdrościli. Mleka dawała tyle, że głodu nie zaznali. A to akurat jak parę dni nazad wojna się zaczęła. Ojciec poszedł, palik wyrwał, a jak się wyprostował, to zobaczył samolot. Najpierw nie wiedział, czyj on – nasz czy nie nasz. Potem rozpoznał czarny krzyż, ale uciec już nie zdążył. Do krowy przypadł. Skulił się tylko, zgarbił, przyrósł do ziemi. Samolot przeleciał nad nim nisko, z rykiem, pani wie, takim jak na filmach. I serią z karabinu po tym pastwisku. I do kogo? Wojsko jakieś tam było? Fabryka? Most? - znowu umilkł. Pociągnął nosem. Mocował się czas jakiś ze swoimi myślami. - Ojciec ocalał, krowa nie.

Autobus co jakiś czas wciągał i wypływał pasażerów, wiozących swoje fragmenty życia upchane w siatki i torby. Miejsce melomana ze słuchawkami zajął łysol w tatuażach. Obok niego, ledwo mieszcząc się na siedzeniu, przysiadł tęgi dżentelmen w typie Herkulesa Poirot.

---

Jego laseczka ze srebrnym okuciem wyglądała równie kuriozalnie, co słomkowy kapeluszek przewiązany brązową wstążką. Ludzie wchodzili i wychodzili ze swoimi troskami i radościami, stając się krótkim doświadczeniem innych, przelotnym wrażeniem, ruchliwym dowodem, że samotność to tylko pozory.

Tak będzie i w przypadku mojego współpasażera – pomyślała kobieta. Zerknęła na koszyk. Mogłaby przysiąc, że zakrywająca go chustka poruszyła się. Mężczyzna też to zauważył. Uniósł rąbek, zajrzał do środka.

– Psa mu się uwidziało mieć, wnuczkowi znaczy. Do bloków, to mały miał być. Kupili mu, rasowego, za duże pieniądze. Mówili mi, co to za rasa, no ja zapomniałem. Ale czy mały, czy duży, zajmować się trzeba. Nie tylko jeść dać. Pies to przecież żywe stworzenie, po trawie chce poganiać, po polach, nawąchać się ziemi. Wnuczek do szkoły, oni do pracy, a pies towarzyski. Z nudów i chyba tęsknoty wył całe dnie, aż sąsiedzi poszli na skargę. Syn zdecydował oddać do schroniska. Mały to nawet za bardzo nie płakał po nim, komputer włączył i tyle go interesowało. Mnie zaś żal się zrobiło zwierzaka. Jakże tak – za kratki, jak do więzienia jakiegoś. I za co? Że wyje, że płacze za człowiekiem? No to wziąłem go. Dali mu jakieś krople, żeby spał spokojnie w podróży i kłopotu nie robił, ale chyba za mało, bo wiercić się zaczyna. Chce pani zobaczyć?

Mężczyzna zdjął chustkę. Kobieta ciekawie nachyliła się nad koszykiem, w którym leżał mały, zwinięty kłębuszek.

– Ładny, prawda? A kiedy tak spojrzysz na człowieka... Oni go chcieli do schroniska, do więzienia. Delikatny jest, nie to, co zwykły kundel. Jedzenie specjalne trzeba mu kupować. Nawet dali jakieś, napoczęte. Czuje pani, jak śmierdzi? Ale ponoć jemu smakuje.

– Śliczny! – kobieta odruchowo wyciągnęła rękę, cofnęła, spojrzała na współpasażera. Napotkała jego aprobujące, łagodne spojrzenie. Delikatnie pogłaskała brązową sierść. Była ciepła, szorstka. Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się.

– Widzi pani? Śliczny, prawdę pani powiedziała. Śliczny. Pasuje do tego świata, pasuje.

## ZACISZNY ATOL

Sabinę coś obudziło. Otworzyła oczy – środek nocy. Ale ze spania nic już nie będzie. Wstała. W ciemnościach pokoju pulsowały niebieskie światełka routera. Wyteżyła słuch. Usłyszała monotonny szum pompy. I ani odrobiny głosu żywej istoty. Jakby w ogóle nie było sąsiadów. „Idealne wyciszenie” – zapewniały reklamy osiedla Zaciszy Atol. Właśnie ten slogan ją oczarował. Stanowczo oznajmiła Piotrowi: „Atol albo rozwód!”

Od urodzenia mieszkała w domu, w którym hałas był normą. Mieszkańcy jej kamienicy nie ukrywali swoich problemów za zamkniętymi drzwiami. Mieli zwyczaj kontynuowania na klatce schodowej dysput rozpoczętych w rodzinnym gronie. Bywało, że spod siódemki wyskakiwał młody Zaraska goniony matczynym: „Jak teraz wyjdiesz, to nie wracaj na obiad!”, na co syn odkrzykiwał: „Mam gdzieś twój obiad!”. Wtedy ona przechylając się przez poręcz, puentowała: „To żryj gówno!”. Kiedy indziej mozolnie wracający na swoje trzecie piętro Nowakowski przygotowywał argumenty na spotkanie z rodziną: „A co, kurwa! Za swoje piłem! Za swoje!”. A rankami rozlegał się ryk małej Rok-sany spod ósemki obudzonej zbyt wcześnie i prowadzonej o tej dzikiej porze do przedszkola.

Po latach wysłuchiwania cudzych awantur Sabina marzyła o ciszy. Ciszy za ścianą. Ciszy na schodach. Ciszy na ulicy. I wierzyła, że zgodnie z reklamową obietnicą Zaciszy Atol jej to zapewni. O tym, że nazwa osiedla na pewno nie będzie częścią przechwałki, upewniła się podczas pierwszego zebrania wspólnoty. Z wysokości stołu prezydialnego Prezeska Zarządu Osiedla i zarazem jej mieszkanka poinformowała zebranych:

– Nasze osiedle nie bez powodu nazywa się Zaciszy Atol. Na skwerze, w garażach, na klatkach schodowych, w windach i w mieszkaniach oczekujemy jak najniższego natężenia dźwięków.

Wyjaśniła, że po szczegółowe wyjaśnienia należy sięgnąć do regulaminu na internetowej stronie Atolu i zapewniła, że osiedle jest wyposażone w czujniki ruchu, kamery i mikrofony, które pomogą w utrzymaniu porządku. Sabina poczuła satysfakcję. Wystąpienie Prezeski nagrodziła tak entuzjastycznymi oklaskami, że Piotr popatrzył na nią zaskoczony. Ale jak się nie entuzjasmować nowym etapem życia bez pijaństwa, burd i obelg Zarasków czy Nowakowskich? Bo przecież tu nie będzie na nie miejsca. Tak jest w regulaminie. Prezeska zapewniła.

Sabina była nią do tego stopnia urzeczona, że w końcu zapomniła o przeczytaniu tego regulaminu. Miała wrażenie, że wszystkiego dowiedziała się na zebraniu. Prezeska – wzorzec twardej kobiety sukcesu – była w tym, co mówiła niezwykle przekonująca. Jej twardość wcale nie odbierała jej atrakcyjności, ba, nawet ją podkreślała. Składały się na to: sylwetka (szczupła i umięśniona po licznych seansach na siłowni, emanująca energią), twarz (nieskazitelną, lecz dyskretną makijaż, zimne niebieskie oczy, blond

---

włosy w naturalnym odcieniu), no i smukłe nogi (odsłonięte nie za dużo, ale i nie za mało, w świetnych butach). Do tego ubranie wysokiej jakości, noszone z taką swobodą, z jaką nosi się codzienny strój.

Zachwytu Sabiny nie zepsuła nawet chłodna odpowiedź Prezeski na jej radosne „Dzień dobry!” następnego dnia w garażu. Wzorcowa kobieta sukcesu otaksowała ją uważnym spojrzeniem, wsunęła się do wnętrza lśniącego lexusa, wcisnęła przycisk pilota, a kiedy drzwi garażu podjechały do góry, błyskawicznie wyjechała, zostawiając Sabinę z gasnącym uśmiechem. No cóż, superkobiety mają ważniejsze sprawy niż błaha rozmowa.

Sabina wiedziała, że nigdy nie będzie do niej podobna. Ale już sam fakt, ma ją za sąsiadkę, niezmiernie ją cieszył, a nawet napawał dumą. Dumę odczuwała właściwie przez cały czas, odkąd zamieszkali z Piotrem w Zacisznym Atolu. Dumę i radość. Nareszcie z dala od Ogrodowej, Łąkowej i Polnej, ulic jej dzieciństwa, nazwanych tak chyba przez jakiegoś złośliwca, bo trudno sobie wyobrazić miejsca odleglejsze od ogrodów, łąk i pól. Natomiast Zaciszny Atol rzeczywiście był tym, co zapowiadała nazwa.

Był wyspą i choć nie koralową, i nie nad oceanem, jednak odciętą od reszty świata. Od zewnętrznych hałasów i brudu osłaniało go wysokie, białe i gładkie ogrodzenie z bramą, otwierającą się tylko przed posiadaczami odpowiednich pilotów. Oni i tylko oni mogli się cieszyć urodą czteropiętrowych domów wśród schludnych, wiecznie zielonych drzewek i równo przyszytych, poprzecinanych chodnikami trawy. Nad ich bezpieczeństwem dniem i nocą czuwały kamery agencji ochroniarskiej. A po zmierzchu włączało się halogenowe oświetlenie, zapewniające widoczność prawie jak w dzień. Osiedle doskonałe.

Doskonałe osiedle wymagało doskonałego mieszkania.

Sabina i Piotra stopniowo się meblowali, a wszystko, co kupowali, było nie tylko nowe, ale i w najlepszym guście. Piotr zostawił żonie wolną rękę w decydowaniu o drobiazgach nadających wnętrzu charakter. Kiedy w pierwszych tygodniach po przeprowadzce wyjeżdżał rano do firmy, Sabina ruszała do miasta na poszukiwanie ręczników, talerzy, obrazków i setki innych niezbędnych przedmiotów, których nie znalazła w internecie. Stawiała im wysokie wymagania – wolała poczekać na te właściwe niż zadowolić się byle czym. To się sprawdzało. Kilka razy była bliska kupienia czegoś, co oceniła jako znośne. Jednak gdy w ostatniej chwili rezygnowała, po pewnym czasie trafiało się coś naprawdę ekstra. Wystrój mieszkania zbliżał się do ideału. Brakowało jeszcze tego czy owego, ale nadszedł moment, żeby je pokazać.

Urządzili parapetówkę. Nic specjalnego, całkiem nieduże spotkanie dla kilkorga znajomych ze studiów i z pracy Piotra. Sabinę nawiedziła myśl, że może powinna zaprosić kogoś z Ogrodowej. Oczywiście nie Zarasków czy Nowakowskiego. Ale taką na przykład Elkę, u której czasem bywała i która bywała u niej... Jednak kiedy wyobraziła ją sobie w Atolu, poczuła niesmak.

Przyjęcie miało miejsce na tarasie i udało się nad wyraz. Zamówione w Symfonii Smaków jedzenie było pyszne, a drinki – jak się należy – rozweselające. Gdy z upalnego sierpniowego dnia zrobiła się pachnąca, ciepła noc, to, co zaczęło się trochę sztywno, przekształciło się w fantastyczną zabawę z tańcami i zaimprovizowanym karaoke. Żadnego porównania z sąsiedzkimi imprezami w dawnym domu. Tamte z reguły zaczynały się przyjaźnie, a kończyły jeśli nie rękoczynami, to przynajmniej kłótnią.

A przecież bywało też gorzej – czasem musiała interweniować policja. Jak ta odrobina kultury pomaga w relacjach międzyludzkich!

Kilka dni później przy windzie Sabina natknęła się na Prezeskę. Wyglądało na to, że specjalnie na nią czeka, bo nawet przytrzymała zamykające się drzwi.

– O, dziękuję – Sabina poczuła się mile polectana jej uprzejmością. Pospiesznie wskoczyła do kabiny, żeby tamta nie musiała czekać. Uśmiechnęła się do niej szeroko, zanim wcisnęła przycisk drugiego piętra. Uśmiech nie został odwzajemniony.

– W ostatnią sobotę urządziła pani jakąś libację – stwierdziła Prezeska.

– Proszę?

– Libację, popijawę, ochłaj czy jak to się nazywa tam, skąd pani przybywa – wycedziła Prezeska. – Czas się zorientować, że tu nie miejsce na podobne ekscesy. To jest osiedle dla ludzi z innego środowiska niż to, z którego pani się wywodzi. Prawdopodobnie znaleźli się tu państwo w wyniku przypadku. I lepiej dla was, żebym nie żałowała, że do tego doszło. Jeśli chcecie tu zostać, musi się pani do nas dostosować, a nie, jak może się pani wydaje, my do pani. Przypominam: jesteśmy w Zacisznym Atolu. To, co cenimy sobie najbardziej, to cisza. I wymagamy jej od wszystkich. Bez wyjątku.

Sabina słuchała tej przemowy ze wzrastającym zdumieniem. Tak wielkim, że prawie zapomniała wysiąść, kiedy winda się zatrzymała. Zrobiła to dopiero po kilku sekundach i niezupełnie przytomnie, po czym dobrą chwilę stała wpatrzona we własne drzwi.

„Środowisko”, „tam, skąd pani przybywa”! Co to miało znaczyć? Wyjęty drżącymi rękoma klucz, spadł na podłogę. Ukucnęła, żeby go podnieść i tak już została. Oparła czoło o drzwi. Wtedy nagle się otworzyły. Piotruś! Na całe szczęście był w domu.

– Co się stało? – zapytał, podnosząc ją z kolan, bo wpadła do środka, gdy uchylił drzwi.

– Nie wyobrażasz sobie... – zaczęła i zabrakło jej tchu. – Prezessska! – w jej głosie brzmiało zdumienie. Ale i wściekłość. – Właśnie z nią jechałam windą.

Dokładając starań, żeby to zrobić jak najbardziej składnie, streściła Piotrowi, co usłyszała.

– Libacja? Ochłaj? Naprawdę tak powiedziała? – Piotr nie posiadał się ze zdumienia.

– A to zołza! Megazołza! Zaraz do niej pójde i ...

– Koniecznie! Niech sobie nie myśli!

Poklepał się po kieszeni – nigdy nie wychodził bez komórki. Była na miejscu, więc ruszył do drzwi.

– Czekaj, czekaj! – zatrzymała go w ostatniej chwili.

Obawiała się, że wpadnie jak burza i zrobi istny sajgon. Potwierdziłoby to opinię Prezeski, że są rodziną patologiczną. Trzeba przemyśleć, co jej powiedzieć. Przysiadła na fotelu. Analizowała w myślach przebieg rozmowy w windzie. Jakiej rozmowy? To był monolog. Piotr usiadł naprzeciw niej i wspólnie zaczęli się zastanawiać. Byli zgodni, że trzeba rozmawiać zdecydowanie, ale jednocześnie spokojnie. Nie dać się ponieść emocjom, ale też nie ustąpić ani na krok. Nie krzyżeć, ale powiedzieć swoje.

– No dobrze – stwierdził wreszcie – to chyba już wiem, jak to przeprowadzić. Trzymaj kciuki, żebym się nie wściekł. Idę. Wróć z głową smoka.

Sabina posłała swojemu rycerzowi całusa.

Kiedy wyszedł, rozłożyła prasowanie. Nie lubiła prasować, jednak przesuwanie żelazkiem po ubraniach pomagało w czekaniu i pozwalało wyładować emocje. Była wzburzona.



Bo jak to? Zasugerowano jej, że nie pasuje do Atolu. Ona, która zatyczkami do uszu odcinała się od przekleństw Nowakowskiego, ona, która dostawała dreszczy na widok kibicowskich haseł wypisanych sprejem na świeżo położonych tynkach i czuła mdłości, mijając na chodniku psie kupy. I zarzuciła jej to osoba, którą Sabina obdarzyła bezkrytycznym, niemal bałwochwalczym podziwem. Rozgoryczenie, jakie poczuła, było dojmujące. Stosik wyprasowanych rzeczy rósł, a Piotr nie wracał. Wydawało się, że mijają godziny. Wreszcie usłyszała zatrzymującą się windę i nie czekając na dzwonek, podbiegła do drzwi.

– No i co? No i co?

– Poczekaj. Zaschło mi w gardle – ruszył w stronę kuchni. – Muszę się napić.

Otworzył lodówkę, wciągnął butelkę wody i zaczął pić. Trwało to i trwało.

– Najpierw usiądźmy – zaproponował.

Usiedli przy kuchennym stole.

– Powiedziałem jej wszystko to, co ustaliliśmy. Wysłuchała.

– Przeprosiła?

– Przyznała, że użyła mocnych określeń...

– Przeprosiła?!

– Mówię, że przyznała. No wiesz, ona ma jednak trochę racji... Poczekaj, posłuchaj do końca! Powiedziała, że skoro wybraliśmy Atol, to tym samym zaakceptowaliśmy jego regulamin. A regulamin przewiduje ciszę nocną...

– Cisza nocna! Jak na koloniach!

– Może nazwa nie jest najszcześliwsza. Ale zakłócanie porządku może być powodem pozbycia się lokatorów. Nie przerywaj przez chwilę! Pokazała mi ten regulamin. No bo wydało się, że go nie znamy. Tam naprawdę jest taki punkt!

Sabina niedowierzająco kręciła głową. Piotrek był wyraźnie zakłopotany.

– Przypomniała... no, bo to jednak nie była groźba... że cała nasza impreza jest udokumentowana przez kamery. Rozumiesz, dla bezpieczeństwa ustawione są tak, żeby łapać to, co się dzieje na tarasach.

Bezradnie potargał sobie włosy na głowie.

– Prawdę mówiąc, w końcu to ja musiałem ją przeprosić...

I wtedy Sabina podjęła decyzję. Do takiego regulaminu na pewno nie zajrzy! Mało tego – w ogóle nie zaakceptuje jego istnienia.

Wysłuchiwała się w ciemność. Coś szumi? Nie, cisza. Wyteżyła słuch. Nic. Sięgnęła po komórkę leżącą na szafce. Wpół do drugiej. Znowu. Tak jak prawie każdej nocy, kiedy Piotr wyjeżdżał. Ekran komórki przestał świecić i ponownie otoczyła ją nieprzenikniona czerń. Dopiero po kilku sekundach była w stanie dostrzec sygnalizator wyłącznika lampy, potem cztery oczka routera, a w końcu kropki światła przesączające się przez dziurki w roletach. Oczy stopniowo się przyzwyczajały i po chwili znów rozpoznawała ciemne kontury otaczających ją sprzętów.

Ostatnio Piotr wpadł na pomysł kupienia żonie szczeniaka. Żeby miała towarzysztwo, kiedy on wyjedzie. Sabina widywała psy w Atolu. Ścisłe mówiąc piesiki. Pieseczki. Zabaweczki. Miniaturki. Maskotki w kubraczkach i z kokardkami na główkach. Piotr zaczął od sprawdzenia w regulaminie, jakie warunki trzeba spełnić.



---

Stojący na straży porządku regulamin akceptował wyłącznie psy wykastrowane i z podciętymi strunami głosowymi.

Tym w kamienicy na Ogrodowej niczego nie wycinano. Sabina zawsze wiedziała, kiedy są wyprowadzane na spacer. Popiskiwały z niecierpliwości, zbiegając na dół, a za nimi z okrzykami „uspokój się!” gonili właściciele. Zwierzaki były trzy, a dwa z nich się nienawidziły, dlatego starano się wychodzić z nimi o różnych porach. W związku z tym na schodach wciąż tupali kolejni właściciele czworonogów. Ale zdarzało się, że przez niedopatrzenie wrogowie się spotykali. Nieodmiennie kończyło się to ujadaniem i bójką między psami i długo niemilknącymi wyzwiskami sąsiadów. Nie znosiła tego. Choć zasadniczo nic nie miała przeciw psom. A sympatycznego wielorasowca młodego Zaraski nawet lubiła.

Odkąd wprowadzili się do Atolu, nie usłyszała najcichszego szczeknięcia. Początkowo bardzo ją to ucieszyło. Potem na widok noszonych w torebkach, bezwolnych piesków poczuła lekki niepokój. A gdy dowiedziała się o wymaganiach regulaminu, które Piotr uznał za logiczne i uzasadnione, stanowczo odmówiła posiadania jakiegokolwiek zwierzęcia. Wzdrygała się ze zgrozą na myśl o psie, który chce, ale nie może zaszczekać, chce, ale nie może.... Utwierdziła się w przekonaniu, że taki regulamin nie zasługuje na akceptację.

Wyteżyła słuch, bo odniosła wrażenie, że z klatki schodowej dolatują jakieś dźwięki. Próbowала złowić jakiś odgłos. Nic z tego. Opuściła stopy na podłogę i siedziała tak przez chwilę bez ruchu. Może zajrzeć na facebooka? Może poszukać czegoś na youtube? Skrzywiła się na samą myśl. Przysunęła się do ściany, za którą – wynikało to z planu budynku – powinna się znajdować sypialnia sąsiadów. Chłód i milczenie.

W tej chwili zdała sobie sprawę, że odkąd mieszka w Atolu, nie słyszała płaczu niemowlęcia. Nigdzie na całym osiedlu. Czyżby regulamin i wobec nich stawiał podobne wymagania jak wobec zwierząt? Wstrząsnął nią dreszcz. Co też jej przychodzi do głowy!

A co z kilkulatkami? Piękny plac zabaw pod jej oknami stał pusty. Nie widziała tam nigdy żadnego dziecka. Rano rodzice wywozili gdzieś swoje potomstwo, a wieczorem przywozili je z powrotem. Tak robiła mama rodzeństwa z parteru, tak robiła Prezeska ze swym wykolczykowanym nastolatkiem, tak robili rodzice dziewczynki z pierwszego piętra. Tę małą z pierwszego, która była w wieku Roksanki z Ogrodowej, Sabina próbowała kiedyś zagadnąć, ale smarkuła popatrzyła na nią z taką pogardą, że czym prędzej się wycofała. Natomiast jej ojciec rzucił Sabinie oburzone spojrzenie, jakby rozmowa z dzieckiem była wykroczeniem. A ponieważ tak właśnie myślał – Sabina była tego pewna – po powrocie ze szkoły sadzał córkę przed komputerem ze słuchawkami na uszach, co miało być skuteczną barierą przed kontaktami z nieodpowiednimi ludźmi. Całkiem inaczej niż Elka na Ogrodowej, która swojej Roksanie pozwalała wpadać do Sabiny. Ku zadowoleniu całej trójki.

Na osiedlu o nazwie Zaciszny Atol ściany były specjalnie wyciszone. Żeby coś usłyszeć, należałoby zastosować szklankowy podsłuch. Na Ogrodowej był raczej niepotrzebny, ale w akademiku niektórzy go stosowali. Należało przyłożyć szklankę otworem do ściany, a denkiem do ucha i życie erotyczne kolegów czy koleżanek przestawało być tajemnicą. Tylko że do tego niezbędna była szklanka. Sabina nie miała ani jednej.

Nie było rady. Ukłękła na łóżku i przykleiła do ściany gołe ucho. Wsluchiwała się intensywnie ze zmarszczonymi brwiami. Cisza. W końcu jest środek nocy... A może jednak? Jakikolwiek dźwięk! Przewracanie się z boku na bok? Chrapanie? Mamrotanie przez sen? I rzeczywiście coś usłyszała. Głęboki pomruk, który sprawił ścianę w mikroskopijne drganie... Poderwała głowę. Mruczenie było nadal słyszalne, choć jego ton stracił basową barwę. Zastygła bez ruchu. Dźwięk docierał z jej mieszkania! Z wrażenia przygryzła wargę. Co to...? I nagle zrozumiała.

– Głupia! – otwartą dłonią pacnęła się w czoło .

To było warczenie jej własnej lodówki! Ponownie przyłożyła ucho do ściany. Dźwięk się pogłębił. Ten pomruk i to subtelne drganie, przenoszące się wzdłuż murów, wywoływał poczciwy agregat.

Na Ogrodowej nigdy nie było tak cicho, żeby się przestraszyć własnej lodówki. Ludzie byli zdecydowanie głośniejsi. Jeśli nie lokatorzy za ścianą, to przechodnie na ulicy. W dzień chichotały nastolatki albo wrzeszczały dzieciaki. Nocą śpiewali kibice zwycięskiej drużyny albo nawoływali się temperamentni kochankowie. Marzyła wtedy, żeby poszli spać, żeby ich aresztowała policja, żeby ich porwało tornado... A dziś?

A dziś słuch Sabiny ogłuszony doskonałą ciszą Atolu rozpaczliwie potrzebował czegoś, o co mógłby się zaczepić. Domagał się jakiejś pożywki. „Posłucham muzyki” – wymyśliła w desperacji. Słuchanie muzyki w starym mieszkaniu zawsze było zakłócone dźwiękami z zewnątrz. Większość odgłosów przebiegała się bez trudu nawet przez słuchawki.

Sabina stopami złowiła klapki i kierując się światelkami czujników przeszła do salonu. Dotknęła przycisku na programatorze przy drzwiach. Zrobiło się jasno. Poczula się nieswojo. Jasność zamiast oswoić wnętrze, wydobyła jego obcość. Sabina odniosła wrażenie, że znalazła się wśród anonimowych dekoracji. Jej nowe, wybierane z pietyzmem meble sprawiały wrażenie sklepowej ekspozycji.

Szybko przejrzała półkę z płytami. Trochę ich się uzbierało, zanim zarzucili ich kupowanie. Przez chwilę niecierpliwie przerzucała kolejne i te popowe, i te z elektroniką, i polskie, i zagraniczne. O, to będzie dobre! Trzymała w ręce płytę z V Symfonią Beethovena. W zasadzie nie słuchała muzyki klasycznej. Ale na Ogrodowej czasem lubiła głośno nastawić niektóre przeboje: Cztery pory roku, koncert Chopina, parę kawałków Czajkowskiego albo właśnie *V Symfonię*.

Niech będzie Beethoven. „Ale zaraz ryknie!” – ucieszyła się. Ryknie? Z westchnieniem sięgnęła po słuchawki. Rozejrzała się za pilotem. Prawda, przypominała sobie, odtwarzacz uruchamia się programatorem. Nigdy tego nie robiła, bo ostatnio słuchała muzyki tylko z komórki. Który to przycisk? Chyba ten... Ale to nie był ten. Zamiast odtwarzacza uruchomiła rolety, które prawie bezszelestnie zaczęły podjeżdżać do góry. Zanim je zastopowała, odsłoniły do połowy okna. Zaczęła stukać palcem w kolejne sensory. Najpierw przygasiła światło, potem pierwsza roleta zjechała w dół, za to druga zwinęła się pod sufitem, w końcu jednak opanowała jedno i drugie. Dopiero wtedy udało jej się trafić na właściwy przycisk. Na odtwarzaczu zapaliło się światelko, a po chwili zastanowienia otworzyła się szufladka. Z westchnieniem ulgi włożyła płytę. I zgasiła światło, bo skoro miała się oddać muzyce, było jej niepotrzebne.

Ciemność złagodziła poczucie obcości. Opadła na kanapę, która bez oporów przyjęła

ją w swoje miękkie objęcia. Ciekawe, ale meble na Ogrodowej – choć stare – zawsze wydawały się oswojone, nawet z nagła oświetlone w środku nocy. A może właśnie dlatego, że były stare? Tu w Atolu nie było miejsca ani na stare meble, ani na stare ubrania, ani na stare samochody. Do jego apartamentów, skwerków i mieszkańców nie pasowało nic brzydkiego. Dlatego Sabina nawet siedząc w domu, na wszelki wypadek robiła makijaż i nie wkładała rozciągniętych dresów. Co prawda przez osiem miesięcy żaden sąsiad ani żadna sąsiadka jej nie odwiedzili, gdyby jednak do tego doszło, nie byłoby wstydu. W Atolu obowiązywały zasady. Nie było mowy, żeby wpaść do kogoś tak po prostu, jak to na Ogrodowej robiła Elka. Nieumalowane i nieuczesane piły wtedy kawę i plotkowały beztrzesko... Jedyne znane Sabinie przypadki niezapowiedzianych odwiedzin w Atolu to była wizyta Piotra u Prezeski. Po jego powrocie zrozumiała, że nawet jeśli bojkotuje regulamin, ostatecznie i nieodwołalnie musi się pozbyć balastu Ogrodowej. Czyli dostosować się do wymaganego przez Prezeskę modelu komunikacji międzysąsiedzkiej wyłącznie drogą mailową, bez niehigienicznych kontaktów bezpośrednich.

– Ta- ta- ta- taaa! Ta- ta- ta- taaa! – wyskandowała razem z orkiestrą, wymachując ramionami. Ułożyła się wygodnie, podwijając nogi. Taka pozycja nie pozwalała na dyrygowanie. Ograniczyła się więc do postukiwania palcami w oparcia. Każda nuta wypełniała ją od stóp do głowy. Kiedy zaczęło się andante, zorientowała się, że podśpiewuje. Prawdopodobnie robiła tak od samego początku. Czy śpiewała na cały głos? Jeżeli tak, to w tej sterylnej ciszy nocnej lokatorzy musieli to słyszeć. Zerwała z głowy słuchawki i znów zaczęła się wsłuchiwać w ciemność.

Jaka będzie reakcja? Może rozlegnie się stukanie kijem od miotły w sufit i w podłogę. Taki zgodny atak oburzonych sąsiadów z dołu i z góry. Co za pomysł rodem z poprzedniego życia Sabiny? Przecież w Atolu sprzątaniami zajmowały się profesjonalne firmy uzbrojone w najnowocześniejsze maszyny czyszczące. Czy tu ktokolwiek w ogóle miał miotłę? Jeszcze dobrą chwilę siedziała w bezruchu. Gdzieś w trzewiach Atolu coś się przelewało. W kuchni obojętnie pomrukiwała lodówka. I żadnej ludzkiej reakcji. Mieszkańcy posłusznie spali. Cisza nocna zgodna z regulaminem i wolą Prezeski. Poczula coś w rodzaju zawodu.

Nagle podskoczyła. Parę metrów od niej zaklekotało jakieś urządzenie. Dźwięk dochodził z pokoiku, który oboje z Piotrem nazywali gabinetem. Centralnym jego punktem był – zgodnie z nomenklaturą Piotra – węzeł elektroniczny, czyli centralny komputer. Ostatnio Sabina nie miała potrzeby wchodzenia do gabinetu. Po co, skoro zawsze miała pod ręką swój tablet? Ale teraz wyraźnie słyszała energiczne postukiwanie maszyny przygotowującej się do pracy. Wkrótce dźwięk stał się wyższy i jednostajny. Zdumiona wsłuchiwała się w te gwiżdżące dźwięki. „Drukarka!” – stwierdziła nagle. Po chwili urządzenie ucichło. Nasłuchiwała. Lecz dalszego ciągu nie było. W jej myślach panował absolutny chaos. Co to było? Dlaczego drukarka zaczęła działać? Co ją włączyło?

Krok za krokiem, na palcach zbliżyła się do gabinetu. Przed drzwiami głęboko wciągnęła powietrze. Nacisnęła klamkę, błyskawicznie wsunęła rękę do pokoju i włączyła światło. Kolanem popchnęła drzwi, jakby spodziewała się kogoś zaskoczyć. Oczywiście nikogo nie było. Za to podłogę przykrywały wypłute przez drukarkę arkusze. Sabina ostrożnie ukucnęła i przyjrzała się wachlarzykowi kartek. Podniosła jedną. Tekst

---

podzielony był na paragrafy. Paragrafy na punkty. A punkty na podpunkty. Powtarzały się sformułowania: „Zabrania się krzyków...”, „Zabrania się śpiewania...”, „Zabrania się...”, „szczególnie w porze nocnej...”, „pod groźbą...”, „następujące sankcje...”. Regulamin!

W Sabinie się zagotowało. Nagle poczuła, jak rodzi się w niej i narasta wściekłość. Wściekłość i wrzask. Narasta i zrywa tamy. Zerwała się na równe nogi.

– O, nie! – wykrzyknęła. – Dostyc tego!

Wpadła do salonu, zapaliła światło i błyskawicznie włączyła telewizor. Przeszukała kanały, a kiedy znalazła film akcji z dużą ilością strzelaniny, nastawiła dźwięk na jak najwyższy poziom. W całym mieszkaniu rozbrzmiała kanonada. „O, tak!” – wyszepiała z satysfakcją. Zajął się odtwarzaczem. Wyrwała z gniazdka słuchawki i na cały regulator puściła V Symfonię. Oba głośniki aż się zatrzęsły. „Tak jest!” – ucieszyła się i pomknęła do kuchni. Zatrzymywała się tylko po to, żeby zapalić każdą mijaną lampę i lampkę. W kuchni na początek włączyła mikrofalę, następnie zmywarkę, a potem pootwierała szafki. „Ha!” – zawołała triumfalnie, znajdując to, czego szukała. Był to robot do ciasta. Ustawiła go na blacie, włożyła wtyczkę do gniazdka i kazała mu kręcić powietrze w misce. Wciąż było jej mało. Szkoda, że nie ma sokowirówki. No trudno.

Wbiegła do łazienki. Zdarła z wieszaka ręczniki i wrzuciła je do pralki. Uruchomiła program. Włączyła suszarkę do włosów i od dawna nieużywaną przez Piotra maszynkę do golenia. „Odkurzac!” – olśniło ją i roześmiała się głośno. Wywlokła go ze schowka. Wprawdzie zgodnie ze zapewnieniem producenta był niezwykle cichy, ale gdy zaszu-  
biał jednocześnie z suszarką i golarką, powstał całkiem głośny tercet.

W ciągu kilku minut udało się Sabinie stworzyć imponujący hałas. Mimo to usłyszała klekotanie i pogwizdywanie dolatujące z gabinetu. Spodziewała się tego. Spokojnie stanęła w progu pokoju. Kolejne kartki wypadały na parkiet. Z daleka było widać paragrafy, punkty i podpunkty. Popatrzyła na nie z lekceważącym uśmieszkiem i wyszła z gabinetu.

Stwierdziła, że świetnie się czuje. Od dawna tak się nie czuła. Wywołany przez nią dźwiękowy chaos podzielał jak wyzwolenie. Wsluchiwała się w nie przez chwilę. Wspaniale. Cudownie. Prawie jak w sobotę wieczorem na Ogrodowej. Prawie... Bo brakowało czegoś jeszcze, czegoś pochodzącego bezpośrednio od niej. Małego akcentu osobistego. Co by tu...

Głęboko wciągnęła powietrze. Ustawiła się na środku salonu, akurat tam, gdzie spotykały się strzelanina z telewizora z Beethovenem i zaszokowany Zaciszny Atol wraz z okolicami usłyszeli, jak Sabina wydziera się przeraźliwie a z górska:

– Hej, idę w las, piórko mi się migoce!!!

## Kontrast

Dzień był słoneczny i upalny. Lato jeszcze się na dobre nie zaczęło, a już dawało o sobie znać wysokimi temperaturami szczególnie trudnymi do zniesienia w blaszanej kabinie pozbawionej klimatyzacji. To miał być ostatni kurs przed zaplanowanym na początek czerwca urlopem. Nie jechał zbyt daleko – raptem trzysta dwadzieścia parę kilometrów, co nawet przy założeniu, że będzie się poruszał wyłącznie drogami krajowymi, powinno zająć mu nie więcej niż pięć godzin, dlatego wykonywał ten kurs w pojedynkę. Zmienników firma wysyłała tylko na trasy dłuższe niż pięćset kilometrów, oszczędzając w ten sposób na roboczogodzinach. Darek lubił takie kursy. Czuł się wtedy swobodniej, zwłaszcza, że po drodze lubił skorzystać z usług dorodnych panienek zwanych potocznie „tirówkami”. Koledzy przeważnie nie mieli nic przeciwko temu, sami też nie gardzili podobnym towarzystwem, ale ich obecność pozbawiała te spotkania choćby minimum intymności i znacząco obniżała poziom satysfakcji z nich płynącej. Czasem dochodziło też do sprzeczek o pierwszeństwo. Indywidualna jazda usuwała wszystkie te niedogodności.

Nigdy nie odmawiał sobie przyjemności związanych z damsko-męskimi zbliżeniami, mimo że tanie nie były. Wiódł kawalerski żywot. W jego branży kobiet pracowało jak na lekarstwo, a przecież krew nie woda. Inni jakoś znajdowali sposób na ułożenie sobie życia prywatnego. Chwalili się nawet swoimi żonami i dziećmi. Dużo opowiadali, przynosili zdjęcia. Darek nie potrafił się w tym wszystkim odnaleźć. Nie umiał flirtować. Kiedy spotykał dziewczynę, propozycja randki jakoś nie chciała mu przejść przez gardło. Sytuacja klienta, który płaci i wymaga lepiej mu odpowiadała niż rola zalotnika oczekującego na życzliwą akceptację.

„Tirówki” najczęściej spotkać można było w miejscach, gdzie droga wiodła między dwiema ścianami lasu, w pobliżu duktów służących na co dzień robotnikom leśnym, a także grzybiarzom i zbieraczom jagód czy malin. Przy takich ścieżkach zwykle pobocze stawało się nieco szersze, co pozwalało zatrzymać samochód nawet na pół godziny, nie przeszkadzając przy tym innym użytkownikom drogi. Tyle zazwyczaj wystarczało, żeby zaspokoić swoje erotyczne potrzeby.

Darek wjechał właśnie na taki zalesiony odcinek i zaczął uważnie przyglądać się prawemu poboczu. Dziewczyny stały pojedynczo w dwustu- trzystymetrowych odległościach od siebie. Minął dwie pierwsze o wyraźnie azjatyckich rysach. Nie, żeby był rasistą, ale w odniesieniu do cudzoziemek miał liczne skrupuły. Może taka jedna z drugą została porwana? Zabrano jej paszport? Nafaszerowano prochami? Z podobnymi przypadkami nie chciał mieć do czynienia. Polka jest u siebie. Wie, co robi, więc nie ma powodu się nad nią rozczułać.

Jego uwagę przykuła trzecia na tym odcinku. Rzuciła się w oczy ze względu na oryginalną kolorystykę swojego ubioru. Miała jaskrawokanarkową bluzkę bez rękawów

---

uszytą z błyszczącej tkaniny. Z daleka wyglądała jak kamizelka odbłaskowa robotników drogowych. Do tego obcisłe szorty w kolorze dojrzalej śliwki, co stanowiło nawet dla mało wrażliwych oczu bolesny kontrast.

– Cześć skarbie, klasyk za stówę, francuzik za sto pięćdziesiąt, inne numery po dwie stówki – przedstawiła swój cennik zaraz po otwarciu drzwi szoferki.

Darek przypatrzył się dziewczynie i odniósł wrażenie, że skądś ją zna. Nie, na pewno nie był wcześniej przez nią obsługiwany. Ta znajomość sięgała daleko wstecz. Do czasów, kiedy jeszcze nie myślał o zaspokajaniu w ten sposób swoich męskich zachcianek.

– Magda!/? – zapytał z nadzieją, że usłyszy zaprzeczenie, a podobieństwo okaże się całkowicie przypadkowe. Jednak tirówka także przyjrzała mu się uważnie i po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz równie wielkiego zdumienia.

– Darek!/? – krzyknęła, nie ukrywając zaskoczenia.

Amator płatnej miłości poczuł się w tym momencie jakoś dziwnie. Chęć szybkiego rozładowania napięcia seksualnego gdzieś się ulotniła. Pozostało nie do końca sprecyzowane uczucie zażenowania. Magda była najładniejszą dziewczyną w jego klasie licealnej. Wszyscy się w niej podkochiwali i każdy marzył skrycie, żeby chociaż raz się z nią przespać. Nikomu jednak nie udało się tego marzenia wcielić w czyn. Magda umiała trzymać dystans. Uśmiechała się, flirtowała, ale na nic więcej chłopakom nie pozwalała. Szanowała się. Do głowy by Darkowi wtedy nie przyszło, że kiedyś spełnienie tego szkolnego pragnienia będzie dla niego na wyciągnięcie ręki.

– Co ty tutaj robisz!/? – To pytanie wyrwało się jednocześnie z ust ich obojga, jak na niewidzialną komendę.

– Ja pracuję – Darek pierwszy udzielił odpowiedzi. – Jeżdżę po całym kraju. Rozwożę to i owo.

– Ja też pracuję, jak widzisz – odrzekła Magda. – Też bywam na różnych drogach, chociaż może nie w całym kraju. Raczej w tej okolicy. Dzisiaj akurat tu.

– Co skłoniło cię do zarabiania w ten sposób? – Zainteresował się Darek. – Przecież, o ile pamiętam, wybierałaś się na historię sztuki.

– Ty też wybierałaś się na jakieś studia. Chyba nawet na prawo, jeśli dobrze kojarzę. Dlaczego teraz siedzisz za kółkiem?

– Zorientowałem się, że w ten sposób można dużo więcej zarobić. Na aplikację nie miałem szans, a po samej magisterce mógłby co najwyżej tkwić w jakimś biurze za marnie grosze.

– No widzisz. Ze mną było dokładnie tak samo. Zatęskniłam za większą forszą.

– Niby tak. Jednak mimo wszystko...

– Co mimo wszystko!/? – ostro przerwała mu Magda. – Zamierzasz prawić mi jakieś kazania o „sprzedawaniu się”, „kobiecej godności” i innych dyrdymałach? Wszyscy się sprzedają. Trzeba coś sprzedać, żeby żyć. Jedni sprzedają ręce, inni mózgi, a ja to. – Pokazała dłonią na swoje krocze. – Ani to lepsze, ani gorsze od innych zajęć. Zresztą domyślam się, że nie masz nic przeciwko temu. Przecież nie wziąłeś mnie za autostopowiczkę, którą trzeba podrzucić do najbliższego miasta. Prawda?

Darek poczuł się nieswojo. Rzeczywiście, to nie jest w porządku korzystać z usług takich dziewczyn i jednocześnie mieć im za złe, że je świadczą. Trudno jednak było mu pogodzić się z widokiem szkolnej koleżanki w tej roli.



– W szkole byłaś zupełnie inna – zagadnął nieśmiało.

– Wszyscy się zmieniamy. Wtedy byłam inna, teraz inna, później pewnie będę jeszcze inna. Co z tego? To jak? Bawimy się czy nie? Przecież nie zatrzymałeś się po to, żeby mnie nawracać. Szkoda na to twojego i mojego czasu.

– Wiesz. Jakoś odeszła mi ochota. Chyba ci jednak podziękuję.

– Twoja sprawa, ale zapłacić i tak będziesz musiał. Przez ten czas, jak tu gadamy, minęło nas co najmniej pięćdziesiąt samochodów. W każdym mógł siedzieć mój klient. Nie mogę sobie pozwolić na takie straty. Biznes jest biznes. Sam rozumiesz.

Darek wyjął z portfela dwa stułotowe banknoty i bez słowa wręczył Magdzie.

– Za dużo – zaprotestowała. – Nie korzystałeś, to płacisz tylko za czas. Pięć dych wystarczy.

– To taki prezent ode mnie. Po starej znajomości. – Darek próbował wzbraniać się przed przyjęciem zwrotu.

– Czy ja wyglądam na żebraczkę!? – oburzyła się Magda. – Należy mi się pięć dych. Nie biorę napiwków.

– Nawet po starej znajomości?

– Szczególnie po starej znajomości.

Wymienili się banknotami, po czym Magda otworzyła drzwi szoferki, zamierzając wysiąść.

– Zaczekaj! – Darek przytrzymał ją za łokieć. – Tu jest mój numer telefonu. Zadzwoń, jakbyś miała kiedyś ochotę pogadać. – Podał jej swoją służbową wizytówkę.

– Phi, ciekawe o czym? – zapytała drwiąco zeskakując na pobocze. Jednak schowała kartonik do tylnej kieszeni szortów i z banknotem w dłoni zagłębiła się w las. Jej jaskrawożółta bluzka przez jakiś czas migała między drzewami.

„Pewnie gdzieś tam siedzi jakiś alfons, który odbiera od niej pieniądze, a później wypłaca niewielką prowizję z tego, co dla niego zarabia.” – pomyślał i w tym momencie ogarnęła go złość. Miał ochotę wysiąść, pójść w ślad za Magdą i skuć gębę temu łajdakowi, który tak zdemoralizował najfajniejszą dziewczynę z IVb. Zaniechał jednak tego. Magda pewnie nie byłaby mu wdzięczna. Co go to zresztą obchodzi? Jej życie, jej sprawa. Uruchomił silnik i odjechał.

Po drodze minął jeszcze kilka tirówek, ale przy żadnej się nie zatrzymał. Przygodny seks całkowicie stracił dla niego powab. Do końca trasy nie mógł przestać myśleć o tym, co usłyszał od swojej dawnej szkolnej koleżanki. Trudno było mu zaakceptować jej rozumowanie, że każda praca jest sprzedawaniem siebie i nie ma różnicy, jaką część swojej osoby wystawia się na rynek. Jednak im dłużej się zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że jest w tym coś z prawdy. Weźmy na przykład takich artystów. Handlują czymś o wiele bardziej intymnym niż Magda – swoimi najgłębszymi uczuciami przelewającymi na papier, płótno albo nuty. Tylko ich ludzie oklaskują, ustawiają się w kolejkach po autografy. A o Magdzie co powiedzą? „Przydrożna kurwa”. Darek zaczerwienił się, chociaż nikt na niego nie patrzył. Sam często używał takiego określenia w rozmowach z kolegami. Postanowił sobie, że już nigdy więcej nikogo tak nie nazwie.

Myślał też o swoim ostatnim gościu. Na co właściwie liczył, zostawiając Magdzie swoją wizytówkę? Na odświeżenie znajomości? Ale po co? Czy ma moralne prawo bawić się w wybawcę podnoszącego dziewczynę z moralnego upadku? Poza tym, dlaczego właśnie ją?

Każdego dnia mnóstwo podobnych do niej osób świadczy swoje usługi, odbierając pieniądze i pogardę w jednym pakiecie. Świat się jakoś od tego nie wali.

Po rozładowaniu ciężarówki i odstawieniu jej na parking wynajął na koszt firmy jednoosobowy pokój w podrzędnym hotelu. Jutro wróci do domu, a pojutrze zacznie się długo wyczekiwany urlop. Jak go spędzi? Do tej pory planował, że głównie w towarzystwie dziewczek masowo ściągających latem do nadmorskich kurortów. Ale po dzisiejszej przygodzie jakoś odechciało mu się tego. Przecież każda z nich była kiedyś w jakiejś szkole i miała kolegów. Coś mu w tym zgrzytało, chociaż niby to wszystko ludzka rzecz.

Ciekawe czy w drodze powrotnej spotka Magdę w tym samym miejscu, co dziś? Jakaś jego część mówiła, że chciałby, żeby tak się stało. Inna natomiast stanowczo była temu przeciwna. „Będzie jak będzie. Ostatecznie mogę się po prostu nie zatrzymać” – pomyślał w końcu zrezygnowany.

Dochodziła już dziesiąta, kiedy zaczął szykować się do snu. Właśnie wyszedł z łazienki przebrany w pidżamę, gdy w jego szaszetce na dokumenty zadzwonił telefon. „Ktoś chyba jest na bakier z przyzwoitością, skoro dzwoni o tej porze.” – pomyślał z irytacją. Sądząc jednak, że może to być ktoś z firmy, odebrał.

– Cześć, tu Magda – usłyszał po drugiej stronie. – Mówiłeś, że bym zadzwoniła, jak będę miała ochotę pogadać.

## WYRÓŻNIENIE

Wiktor Orłowski

Godło: “Zdarza się”

## Pęknięcie

### 1. «przestać być całym wskutek wytworzenia się szczeliny, otworu»<sup>1</sup>

Pouczona o przysługujących mi prawach oświadczam, co następuje: ja tego nie planowałam. Cokolwiek pan o mnie przeczytał w gazetach, ja nie wybrałam zawodu, żeby to zrobić, i nie szukałam ku temu okazji. Nie stwierdzę, że musi pan mi uwierzyć – sam pan dobrze wie, że nic nie musi – ale proszę zaprotokołować, że tak zeznałam. Zaistniał splot koincydencji, niekoniecznie z mojej winy, których nie musiałabym tłumaczyć, gdyby choć raz doświadczył pan zapachu ludzkiego gówna. Bodaj na chwilę, na mgnienie oka długości dwudziestu pięciu lat.

Kobieta z Błachańca? Jasne, pamiętam. Wezwał mnie do niej Paweł (to jest: technik kryminalistyki, starszy aspirant Paweł Sokół). Przemiła kobieta z nieźle skrzywioną przegrodą nosową i mostem stomatologicznym starego typu. Zafundowano jej kuriozalnie długą sesję leżakowania – pół roku na skraju parku, w kępie derenia i w czułych objęciach ruskiego dywanu. Proszę? Nie, oczywiście, że mnie to nie śmieszy.

W oględzinach in situ ustaliłam, że miała przynajmniej sześćdziesiąt lat. W rzeczywistości

<sup>1</sup> Definicja słowa „pęknąć – pękać” za: [sjp.pwn.pl](http://sjp.pwn.pl)



---

była starsza – osiemdziesiąt cztery skończyła w czerwcu ubiegłego roku, kilka tygodni przed tym, jak w niefortunnym upadku złamała biodro. Zaginęła trzy tygodnie po wyjściu ze szpitala. Jej lewy guz czołowy przecinało wąskie, ukośne pęknięcie długości pięciu i pół centymetra.

– Na chuj zabijać takie stare pudło? Za to jest dwadzieścia pięć lat, to już lepiej zagryźć zęby i przeczekać, aż sama kopnie w kalendarz – parsknął wtedy Paweł, zasłoną dymną grubiaństwa maskując smutek i złość, a ja mu nie odpowiadałam. Obracałam w dłoniach jej czaszkę, drobną i zbłąźniałą wskutek rozkładu, i myślałam o module Younga.

Pan wie, co to jest moduł Younga, prokuratorze?

\*\*\*

Tamtego dnia po zakończeniu czynności Paweł Sokół odwiózł mnie do domu. Tuż po wejściu do mieszkania powitał mnie odór ludzkiego moczu i ekskrementów – i na tym w zasadzie powinienam zakończyć składanie wyjaśnień.

Człowiek to zwierzę, prokuratorze, działa w oparciu o popędy regulowane zmysłami. Wiedział pan, że węchomózgowie to ewolucyjnie najstarsza część naszego mózgu? Jest szal seksu i szal głodu, szal stymulowanej endokrynalnie walki lub ucieczki, jest instynkt pchający nas ku socjalizacji, jest też gama odczuć wyzwalanych w człowieku pod wpływem krążącej w powietrzu drobin zapachu. Czytał pan Süskinda?

Nie, to nie ma związku z przedmiotem sprawy. Przepraszam.

Weszłam wtedy do domu, czując gówno i urynę, a wtedy, panie prokuratorze, coś we mnie pękło nagle, rozwarstwiło się, brocząc oślepiająco białym światłem. I jest ono powodem, dla którego siedzimy – pan tutaj, za tym biurkiem z taniej sklejk, za towarzysza niedoli mając podwiedłą paprotkę – ponieważ to światło nie zgaśnie nigdy, a pana zadaniem jest tłumić przejawy jego blasku. I ja, która siedzę w tej chwili na średnio wygodnym (pan wybaczy szczerość) krzeselku dla aresztantów, a siedzieć będę dalej, już tak w ujęciu holistycznym.

## **2. «o czymś naciągniętym, napiętym: z siłą się rozerwać, najczęściej na dwie części»**

Wychowałam się w mieście pękniętym na dwoje, w domu, do którego sprowadzono rozszczępiony, zbędny bibelot. Jakkolwiek zrozumiałabym, gdyby chodziło o grecką amforę z wyszczerbioną szyjką albo etruską wazę sklejoną z setek elementów – bywają różne dziwactwa – nie potrafiłam wybaczyć rodzicom, że przywieźli pękniętą skorupę mojej babci.

Był to jeden z kaprysów ludzi, którzy chcieli wieść życie możliwe do określenia jako dobre. Sprowadzili ją ze szpitala psychiatrycznego, gdzie niczym wańka-wstańka kołysała się całymi dniami, z wytartą tablicą pustej twarzy, zabitymi oknami mętnych oczu i nieprzyciętymi paznokciami długimi jak krogulcze szpony. Rodzice uznawali tę decyzję za akt miłosierdzia (mój pijany ojciec wielokrotnie znajdował ukojenie w potwarzaniu: – Einstein. – Tak na nią mówił, Einstein, to przez zmierzwione białe włosy. – Einstein, ja cię uratowałem, gdyby nie ja, już dawno byś nie żyła), gest ten był w istocie transakcją wiązaną: jej ugładzone szaleństwo w zamian za moje, zasiane i kielkujące. Zdaje się, że tylko ja to pojmowałam.

Babcia wypchnęła ze swojego łona dwa kawałki istot teoretycznie ludzkich: moją matkę oraz ciotkę. Moja ciotka postawiła na wsi dwa olbrzymie domy, musieliśmy więc zrozumieć jej trudną sytuację lokalową i przyjąć babcię na naszych dwóch pokojach spinających niewiele ponad sześćdziesiąt metrów.

(Chryste, rzygać mi się chce, jak wymawiam to słowo. Nazywam ją „babcią” wyłącznie dla oddania stosunków biologicznego pokrewieństwa. Babcia to przecież konglomerat ciepłej uległości, miłości, ukradkiem wciskanych cukierków i pierogów lepionych ręcznie; babcia to pobłażliwość, bufor chroniący przed gniewem rodziców, to łagodna lekcja niepamięci i odchodzenia, którą dziecko pobiera aż do dorosłości, nie zaś gwałtowny pryszc starości, demencji i gówna. Sam pan rozumie, że nią dla mnie nie była, nie mogła być).

Przywieźli ją, zanim się urodziłam, albo niedługo później. Nie pamiętam, by kiedykolwiek była inna. W moich najstarszych wspomnieniach jawi się jako duch w wygniecionych dressach, z szuraniem kapci sunący po panelach mojego domu, poltergeist odpowiadający za irytujące szelesty i stuki; zła zjawia, która przekładała, gubiła i niszczyła przedmioty.

Wychowano mnie w dychotomii wstydu i prób wykrzesania z siebie zrozumienia, litości bądź szacunku. Wychowano mnie we wrzaskach, bezustannym potoku pozbawionej sensu paplaniny i żarliwych modłach, by raczyła umrzeć, nie zawracając dłużej głowy.

Nie znałam tej kobiety, tego człowieka; wszystko, kim była, pękło dawno temu, a moja babcia wylała się i wsiąkla w ziemię.

(Pan wie, co to jest syndrom wypalenia opiekuna, prokuratorze? To dobrze, że pan, kurwa, nie wie; życzę, żeby pan nie wiedział dalej).

Wrócić do tamtego dnia? Cóż, kiedy już umyłam się, przebrałam i wyszłam z domu, zadzwoniłam po Izę. To jest: Izabelę Dutkiewicz, moją przyjaciółkę z czasów podstawówki. Pracowała wtedy w jednej z knajpek na bulwarze, tej o fasadzie gustownie obrobionej bluszczem. Umówiliśmy się na moście.

Łokciami opierałam się o balustradę, patrząc w brudny nurt Nysy. To miasto dobrze odzwierciedla pęknięcie, wie pan? Granica oddzieliła nas od tego, co było w nim piękne i warte zachwytu, oddarła starówkę od dawnego przedmieścia, naciągnęła powojenną politykę, przepołowiła. Jeśli wejdzie pan na punkt widokowy przy kościele św. Piotra i Pawła i spojrzy w stronę mostów, ujrzy rozdarcie. Od strony Manhattanu dostrzeże pan naciek polskości, brzydkie, szary i zły.

My jesteśmy młodymi ludźmi, prokuratorze, Iza i ja, i wielu innych. To miasto nauczyło nas pęknięć, rozdźwięku między szansami a nadziejami; nam mówi się, że możemy osiągnąć wszystko, a brak sukcesu jest winą naszego lenistwa i niedbalstwa, ale patrząc na miasto takie jak to, widać, że to nieprawda – są granice normalności, zdrowia i piękna, za którymi nie leżą już żadne perspektywy.

Usłyszałam za sobą stukot obcasów i przyspieszony oddech. Twarz Izy wydała mi się wtedy transparentna, złana z fasadą nabrzeżnych kamienic – ona była człowiekiem tego miasta, zasymilowała się z nim; próbowała wyjechać, ale jej życie pękło i wróciła. Byłyśmy w kącie Polski, a ona wiedziała, że kąty są dobre. Człowieka wciśniętego w sam róg już przynajmniej nie sposób przepchnąć gdzieś dalej.

– Co się dzieje? – spytała, odpalając papierosa. – Przestraszyłaś mnie tym telefonem.

- 
- Skończyłaś zmianę?
  - Prawie, ruchu nie ma, Sylwia obrobi resztę sali. Co się dzieje?
  - Wyjeżdżam.

Pamiętam, że wyjęła wtedy papierosa z ust i popatrzyła na mnie tak, jak się patrzy na człowieka zrywającego się do lotu: nieco cynicznie, na poły z rozbawieniem, bo się już samemu próbowało i wie, że ludzie nie latają, a na poły z nadzieją, wierząc, że może uda się kiedyś, komuś; że będzie się chociaż milczącym świadkiem tego cudu.

- Na długo?

Pomyślałam wtedy o szlifierce kątowej mojego ojca i starej walizce, z którą byłam w Czechach, tej twardej, w podniszczony deseń zebry.

- Chyba na zawsze.

\*\*\*

A jeśli chodzi o rzekę – pamiętam, że nam kiedyś uciekła. Babcia, nie rzeka, rzecz jasna. To było lato, lipiec, może sierpień, nurt Nysy płynął bardzo płytko, a moi rodzice wtedy jeszcze nie pilnowali tej starej francy aż tak bardzo. Mogła wychodzić z domu na chwilę, by załapać trochę słońca.

Pewnego dnia nam zwała. Patrol niemieckiej służby granicznej złapał ją, kiedy próbowała sforsować Nysę Łużycką pieszo, z klapkami w rękach, podciągawszy oszczone dresy wysoko ponad kolana. Pamiętam, że wszystkich to zajębiście bawiło, oprócz mnie.

Czy jej nienawidzę? Nie wiem. Nienawiść uważam za uczucie, jakie żywić można jedynie do w pełni ukształtowanego człowieka, a ona nie jest człowiekiem – zaledwie jego rozmięczonym surogatem, układem skąpo reagującym na polecenia, z tendencją do zapomniania wyuczonych komend.

W jej świecie wciąż płaciło się tysiącami sprzed denominacji, a Bukareszt leżał za rogiem, na końcu ulicy. W jej świecie była rolnikiem, gospodarzem, budowniczym mostów, ciężko pracującym robotnikiem i szlag mnie trafiał, bo wiedziałam, że pracowała jako salowa – bardzo krótko, bo potem została zdiagnozowana i przeszła na rentę, żyjąc z uprzejmości moich rodziców.

Eksplodowali śmiechem z jej bełkotliwych wywodów (*– Pobudowali te mosty, a to dokąd to, do Brukseli? To tam jak się jedzie na wschód, za Ząbkowicami? Skarżyć to wszyscy skarżą, a prac to nie ma komu i tych robotników do fabryki, a tu się ubrudzi i szkody takie, aż na pół miliarda, wszystko na miliardy, po tysiąc, po trzy tysiące, wszystko zniszczone, ale ludzie tam biedni mieszkają, gdzie, na cztery, pięć osób? Nie wiadomo, w jakim to ustroju, że ludzie pracują i żywią się, a każdemu potrzebny przynajmniej mały kąciczek, pobudować się, a z czego te pożyczki oddać? Gdzie te drzewka sadzić, cebulę to o, w naczyniach, ale to trzeba przekopać, drugi raz posiać...), nie wiedząc, że mnie to nie bawi; że miłosiernie przyjmując pod dach ruinę człowieka, z psychiki innego, młodego, nieukształtowanego, stworzą przeżarty pogardą i wstydem wrak. Zardzewiałe sito, które z rozkoszą przepuści postulatę eugeniki.*

Pamiętam, jak moja matka wrzeszczała, nie mogąc wyegzekwować ładu i posłuszeństwa. Próbowала prosić, by ta stara kurwa nie ruszała rzeczy, nie sprzątała po swojemu, nie

---

myła naczyń w zimnej wodzie, bez detergentu, nie chowała brudnej bielizny pod poduszki, nie przekładała i nie brudziła tłustymi paluchami moich zeszytów szkolnych, nie waliła w okna w napadach oratorskiego szału.

W ten sposób wrzeszczy się do psa albo dziecka, ale, wie pan, prokuratorze, pies prędzej czy później nauczy się bać gniewu w pańskim głosie, zresztą będzie żył najdłużej dziesięć lat. Dziecko zaś najdalej do dziesiątego roku życia stanie się w pełni komunikatywne i samodzielne. Ale człowiek w demencji nie rokuje osiągnięcia komunikatywności i samodzielności za rok, dwa, dziesięć. Pozostaje więc nadzieja, że zachowa się jak pies – i w miarę szybko zdechnie.

Ja na to czekałam, prokuratorze, i niech mnie pan nie ocenia, jeżeli pan nie żył z ludzką skorupą zdolną rozkręcić panu kuchenkę gazową i nasrać w róg łazienki. Bo kiedy się takie gówno zbiera, panie prokuratorze, na grubą warstwę papieru toaletowego, to się myśli o kupnie udrażniacza do rur i o module Younga, który określa wytrzymałość mechaniczną materiałów.

Leje się Ajax i szoruje fugi, gryząc bezsilny szloch na wargach, i z rytmu uderzeń własnego serca próbuje wyliczyć, gdzie leży granica ugięcia niesprężystego – bo każdy materiał ją ma, prokuratorze, i każdy materiał prędzej czy później, kurwa, pęka.

### **3. «o bombach, pociskach: wybuchnąć»**

Tamtego dnia, kiedy aspirant Sokół odwiózł mnie do domu, po prostu wybuchłam. I nie chcę usprawiedliwiać się stresującą pracą ani zmęczeniem, bo nie o to chodzi, ja dobrze znoszę napięcie zawodowe i konieczność tyrania ze szpadlem w rękach, w rześmistym deszczu.

Nie; we mnie eksplodowała świadomość, że to się nie kończy – miałam pięć lat i się nie skończyło, miałam piętnaście i nie dobiegło końca, mam dwadzieścia pięć, a ona dalej żyje, fizycznie zjawiskowo sprawna, żyje, żeby nas po kawałku zabijać. Pomyślałam wtedy, że moja wyprowadzka niczego nie zmieni, bo rodzice są starzy, a ona wciąż nie umiera; że będę musiała zabrać ją ze sobą, podczas gdy oni stetryczeją, ich mózgi zgniją w podobny sposób, a mnie przygniecie smród i ciężar trzech ciał odartych z praw i przywilejów istoty ludzkiej.

W moje nozdrza bił odór uryny i fekaliów.

Pan wie, jak to jest? Mieć wyższe wykształcenie i rodziców pracujących za granicą, mieć przyzwoite mieszkanie z w pełni sprawną kanalizacją, żyć nie za bogato, ale też nie za biednie, a mimo to we własnym domu czuć średniowieczny fetor, jakby pan, kurwa, w okopach mieszkał, ze świniami się chował, jakby pan w jebanym Wersalu żył i po kątach bawialni srał?

To jest frustracja, jej esencja i rdzeń.

– Co ty robisz? – warknęłam i niech mi pan wierzy, że to było warknięcie. Nie foch, nie oburzony syk, ani teatralne jęknięcie zawodu; to nie był werbalny gest rozkładania rąk, tylko zaciśnięcie ich w pięści.

Ten warkot uważam za porażkę wychowawczą moich rodziców i dowód na moją upadłość jako istoty ludzkiej – fakt, że ja, z moim wiekiem, wykształceniem i twarzą, potrafię z takim chłodem i pogardą warczeć na drugiego człowieka jak obozowy kapo, jak esesman.

Skrzypnęły drzwi. Wyszła z łazienki, szurając kapciami luźno wzutymi na pokracz-  
ne, krogulcze stopy.

– Zamknięte było, nie mogłam do wychodka.

Zamknęłam wtedy oczy, ale nie mogłam odciąć powonienia.

– Jakiego wychodka?

– A za domem.

– Nie ma za domem żadnego wychodka. Kupę robi się do toalety.

Popłoch w jej oczach; nie rozumiała. Gdzie się wtedy cofnęła, do wojny, do jebane-  
go potopu szwedzkiego, paleolitu?

– Wypierdalaj – syknęłam i wypchnęłam ją z łazienki.

– Już, Jezusie kochany, nie popychaj mnie!

– Wypierdalaj.

– A ty czego taka wredna? – zacietrzewiła się. Znowu błysk w jej oczach, preludium  
tyrady. – Taaak, czarcie złośliwy ty, paskudny ty, czego mnie popychasz?!

– Wypierdalaj – wyszeptałam, czując, jak coś mnie dławi; jak szarpie, dzieli na  
części, rozrywa na pół.

– Tylko się biją i kłócą, i popychają, i każą miliony płacić, a ja skąd mam brać?! –  
wrzasnęła, stając w progu. Chwyciłam ją za nadgarstek, jak zwykle dziwić się jej sile;  
miała osiemdziesiąt pięć lat, a była tak cholernie krzepka. – Zostaw mnie! Ja jestem  
biednym człowiekiem i pracuję w polu i skąd mam płacić na te ubranka wszystkie  
i zwierzątka! Puszczaj, uciekaj ty, zarazo! – Upazurzona łapa chlasnęła milimetr od  
mojej twarzy, a wtedy, jak już mówiłam, coś pękło.

Widziałam ją wtedy – moją dłoń zmierzającą wolno ku jej głowie, zaciskającą się  
na białym puchu włosów, pchającą skroń ku framudze łazienkowych drzwi. Huknęło;  
zajęczała z bólu.

– Zdychaj – wykrztusiłam szeptem i uderzyłam jeszcze raz.

Za swoją pracę w polu. Za tłuste odciski na moich zeszytach. Huk. Za ubranka i zwierzątka.  
Huk. Za awantury z powodów, które nie istniały, walenie w okna, wrzaski po nocach. Huk.

– Zdychaj!

Za skórki od mandarynek schowane w szafkach na ubrania. Huk. Za wyciągane  
ze śmieci pudełka po śmietanie. Huk. Za smród w domu, przez który wstydziłam się  
zapraszać gości. Huk.

– Zdychaj! – wrzeszczałam, te części mnie, które oddarły się od siebie, usiłowały  
walczyć:

*To jest twoja babcia.*

*Nie.*

To jest człowiek taki sam jak ty, zasługuje na szacunek.

*Nie bądź, kurwa, śmieszna.*

Złapią cię, wiesz o tym.

*Jebać.*

Całymi latami studiowałaś, żeby nie pozwalać na to, co właśnie robisz.

*Jebać!*

To jest stara kobieta.

---

*A ja jestem młoda i mam zszargane nerwy.*

Ona tego nie robi złośliwie. To nie jej wina.

*Moja też nie.*

Ona nie trzyma moczu. Przecież to rozumiesz.

*Rozumiem, ale nie mam siły. Niech ktoś ją zabierze. Proszę.*

– Zdychaj, zdychaj, zdychaj, zdechnij wreszcie, kurwo jebana! Zdychaj! Franco! Zdychaj! Zdychaj!

Pamiętam tamten moment, każdy cios nagiej pięści i ciężkiej mydelniczki, który spadł na jej twarz, ramiona i suchą, pomarszczoną pierś. Pamiętam, jak upadła i zalała się krwią, a ja nadal ją okładałam, rozdeptując roboczymi butami kał, który usiłowała zetrzeć z łazienkowej posadzki, tylko rozmazując. Nie pamiętam tylko, w którym momencie znieruchomiała i przestała oddychać.

Powinłam wstydzić się i głęboko żałować tej chwili, gdyż była momentem upadku mojego człowieczeństwa, ale, panie prokuratorze, pan nawet, kurwa, nie wie, jak cudowna wtedy zapadła cisza.

#### **4. pękać pot. «bać się»**

Niech im pan to powie, sędziemu i dziennikarzom: ja nie pękłam, nie zadzwoniłam do Pawła ze strachu. Przecież pan dobrze wie, co zrobiłam, więc niech im pan to powie.

Kiedy już wyrównałam oddech, zrzuciłam wszystkie ubrania i zalałam wybielaczem. Sama wślizgnęłam się pod prysznic, gdzie spędziłam dobre pół godziny, szorując skórę i włosy z zacieków krzepnącej krwi; ciało mojej babci leżało wtedy w progu łazienki. Rodziców nie było – ojciec pracował wtedy Anglii, a mamę wywiało na kilka dni do siostry.

Chciałabym powiedzieć, że wyszłam z domu i spotkałam się z Izą bez racjonalnego powodu, pchnięta potrzebą spotkania w trudnej chwili kogoś bliskiego. Nie do końca – poszłam nad Nysę, żeby obejrzeć nurt rzeki. Nie spieszyło mi się, objechałam wszystkie markety w mieście, skupując hurtowe ilości udrażniacza do rur. Wie pan, że niezależnie od nazwy handlowej i producenta jest to w głównej mierze soda kaustyczna? W kontakcie z wodą tworzy żrącą zasadę zdolną w krótkim czasie przeżreć tkanki miękkie.

Nie miałam należycie dużej wanny, ale hodowaliśmy kiedyś żółwia. Przyniosłam z piwnicy jego akwarium razem z rolkami folii malarskiej i szlifierką kątową (jak pan wie, mój ojciec jest z zawodu budowlancem).

Przecięcie kości jest dość trudne, ale jeżeli wie się, którądy prowadzić ostrze, a przedmiot operacji cierpiał na typową dla wieku starczego osteopenię, rozporcjawanie nie będzie dużo trudniejsze niż cięcie indyka nożycami do drobiu. Słucham? Nie, oczywiście, że mnie to nie bawi, prokuratorze.

Proszę im powiedzieć, że nie spanikowałam. Służby mundurowe działają, jak działają, a ja mam dość wiedzy i determinacji, by wam zmydlić oczy. Wiem, czym zmasać ślady krwawe, by wasz Bluestar się na nich rozkraczył. Wiem, jak pozbyć się zawiesziny rozpuszczonych tkanek i spreparować kości, byście nie zdołali ich zidentyfikować, nawet jeśli jakimś cudem je znajdziecie. Pan jest tego świadomy, prokuratorze. Pan zdaje sobie sprawę, że do przypadkowego wykrycia takich szczątków wzywalibyście mnie.

Ja zadzwoniłam do Pawła, bo uświadomiłam sobie, że odtąd będę budzić się i zasypiać,

---

sprawdzając lokalne media, czy nie pojawił się news o makabrycznym znalezisku; będę przekraczać granicę, pocąc się pod wzrokiem straży granicznej; krok za krokiem, dzień za dniem czuć będę na karku wasz oddech i będzie to równie nieznosne, co życie z pustą skorupą człowieka, bezustanne wysłuchiwanie jej bełkotu, codzienne próby wyprostowania szaleństwa.

Niech im pan powie, że nie pękłam. Ja zadzwoniłam po policję dla wolności. I wreszcie ją mam; tam, gdzie trafię, czeka mnie życie monotonne, samotne i złe – ale, ach, panie prokuratorze, pan sobie nawet nie wyobraża, jak tam będzie, kurwa, cicho.

## **PROTOKÓŁ**

### **XXVIII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Marka Hłaski**

Jury w składzie:

- **Sonia Draga** – tłumaczka, autorka książek podróżniczych, prezes Grupy Wydawniczej Sonia Draga, założycielka Wydawnictwa Sonia Draga;
  - **Maciej Melecki** – poeta, scenarzysta filmowy, dyrektor Instytutu Mikołowskiego;
  - **Katarzyna Zdanowicz-Cyganiak** – poetka, adiunkt w Katedrze Projektowania
  - i Analizy Komunikacji (Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach);
- po zapoznaniu się z 208 zestawami prac (104 zestawy poetyckie, 104 utwory prozatorskie) i posiedzeniu w dniu 29 czerwca 2020 roku, postanowiło przyznać następujące nagrody:

#### **POEZJA:**

**I miejsce Bartosz Konstrat** – za zestaw wierszy, opatrzone godłem **stegmann**  
– nagroda w wysokości 600 zł;

#### **II miejsce równorzędnie:**

**Marcin Podlaski** – za zestaw wierszy, opatrzone godłem **pauvrelelian**

**Ela Galoch** - za zestaw wierszy, opatrzone godłem **ROZWIANI**

– nagrody w wysokości 400 zł;

**III miejsce Piotr Zemanek** – za zestaw wierszy, opatrzone godłem **PROSTEEGO**

– nagroda w wysokości 300 zł.

#### **PROZA:**

**I miejsce** – nie przyznano;

#### **II miejsce równorzędnie:**

**Mariola Kruszevska** – za opowiadanie zatytułowane: „**Artysta**”, opatrzone godłem **konwalia**

**Małgorzata Thiele** – za opowiadanie zatytułowane: „**Zaciszny Atol**”, opatrzone godłem **MAZUREK**

– nagrody w wysokości 400 zł;

**III miejsce** – nie przyznano.

#### **Wyróżnienia równorzędne:**

**Andrzej Liczmonik** – za opowiadanie zatytułowane „**Kontrast**”, podpisane godłem **DROGA** -

**Wiktor Orłowski** - za opowiadanie zatytułowane „**Pęknięcie**”, podpisane godłem „**Zdarza się**”

- wyróżnienia w wysokości 200 zł

Z przyczyn formalnych 29 przesylek z pracami zostało odrzuconych.